Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Gorzeń-Górny
pow. Kaolovice
M.C.E. Zegadłowicz.

Cena numeru pojedynczego 30 groszy.
Prenumerata krajowa kwartalnie 1·80 zł półrocznie 3·60 zł rocznie 6.— zł
Prenumerata zagran. kwartalnie 40 półr. 80 centów am.
Konto P. K. O. Kraków nr 406.000 Warszawa nr 153.210

GAZETA LITERACKA

Dwutygodnik

Nr 13 (34) Warszawa — Kraków — Lwów— 28 czerwca 1927 r. Rok II.

Adres redakcji i administracji Kraków ul. Zyblikiewicza L. 5/7, m. 55.
Godziny urzędowe codziennie od 2—3
Oddz. w Warszawie ul. Sienna 22 m. 26 tel. 136-95.
Oddział we Lwowie: ul. Z. Chrzanowskiej L. 10, parter.

Juljuszowi Słowackiemu w hołdzie

Słowacki - Sława - Słowo.

Do słów przyzwyczajamy się, jak do sprzętów. Ocieramy się o nie codziennie i czynimy je wytartemi przez zewnętrzny kontakt i powierzchowną znajomość. Treść ulata ze słowa zmielonego w ustach na obiegowe miedziaki, zaciera się na słowie stempel, pracą ducha wytłoczony i oto po pewnym czasie słowo przedstawia conajwyżej wartość szlachetnie brzęczącego kruszcu. W pogoni za pobrzękiem słowa zatraca się Jego wartość i Jego siła pokupu ludzkich serc. Wyciśnięte z żywej i ciepłej krwi staje się blade i anemiczne słowo szkieletem, lub gąbką rozciągliwą i wszystko-chłonną. Jak żywe siły robocze maszyną, tak żywe słowo zastępujemy coraz więcej precyzyjnym automatem. słowem — pojęciem, które nie budzi już dreszczu odczuwania i pochwytywania treści, ale staje się karnem, matwem narzędziem, jednem z wielu narzędzi cywilizacji. Kochamy się w słowach, pojęciach precyzyjnych i zautomatyzowanych, które nie dają przedczucia istotności tak, jak istoty elektryczności nie tłumaczy dynamo, ani radjoaparat. Coraz bardziej słowa kurczą się i ograniczają w formie do ilości liter, a w treści do szeregu ruchów i odruchów praktycznych, do których wypracowania służą. Ileż w nauce mamy odzianych w powagę togi terminów, które zamurowują nam okno na świat cegłą wewnątrz pustą, a z których każde tem się ratuje, że kurczowo chwyta się poprzednika, tak samo, jak owo pierwsze grzęznącego w topieli niewiedzy. Ogromny łańcuch naszych pojęć to tragedja tonącej i zczepionej ze sobą gromady, coraz więcej pogrążającej się w odmęt rozpaczliwego: „Nie wiem". Rezygnujemy — my ludzie praktyczni — ze słowa, pięknego i soczystego owocu, który umyka brutalnych łap Tantala i wolimy nad SŁOWO — maleńkie i pokurczone słowa, zeschłe, ale strawne owoce praktycznej niewiedzy. Mamy słowa ciche i głośne, mamy słowa pokoju i walki, mamy słowa jadalne i trujące, ale brak nam słowa-Ducha, brak tego, co budzi w nas dreszcz widzów kosmicznego dramatu. Do teorji Kanta Laplace'a niema wstępu biblijny „Logos", choćby na skutek tego, że nie odczuwa się jego potrzeby dla względów czysto pragmatycznych i praktycznych.

Żyjemy pod znakiem gigantycznych wysiłków, mających na celu wtłoczenie przestrzeni w cztery ściany laboratorjum naszych zmysłów: uczymy się i ćwiczymy w niewrażliwości na chłostę tęsknoty za tem, co nie stanowi świata naszych zmysłów i dlatego wszelkie SŁOWO kamienujemy słowami. Ale tu właśnie zaczyna się tragedja. Zdeptana wartość słowa, odcięcie go od korzeni, z których wyrosło, ta przemiana rzetelnej monety w bezwartościowy bilon, staje się przyczyną fałszerstwa i nieporozumień. Tracimy zdolność porozumiewania się przy pomocy słów, bo one nie są już gałęziami słowa, nie czerpią soków z jednego korzenia, bo wichr złej woli zdarł je — zeschłe liście — i ściele z nich zwierzęce leże dla nowoczesnego jaskiniowca. Słowa nie bratają nas, nie wiążą, nie łączą. Nie patrzą prosto w oczy, ale czają się i są wodą, która kryje zdradzieckie ostrze i dlatego dalecy jesteśmy od porozumienia się i dlatego rzeczy najprostsze są najtrudniejszemi do zrozumienia i przyjęcia. Zmierzch jednoznacznych, jednopiennych słów, korzeniami SŁOWA karmionych, jest być może wstępem do nocy takiej, jaka zalała ongiś gruzy wieży Babel.

Słowacki był kapłanem słowa i władcą słów. Modlił się i korzył przed słowem i igrał i bawił się słowami. Ewducję Jego twórczości mozaby krótko określić, jako ciernistą drogę od słów do SŁOWA. Od słów, które ucieleśniał, którym nalawał kształty i barwy, przeszedł do sowa-ducha, które uczyniło go swoim kapłanem.

Miał pełną świadomość swojej dyktatury, swe władzy nieograniczonej nad słowami i formą. Czuł dobrze, że „do wiersza na prawo", że co więcej, do niego „sam rym się miłośnie nagina" i istotnie miał prawo powiedzieć, że

.....gdyby się słowa
Mogły stać nagle indywiduami,
Gdyby ojczyzną był język i mowa:
Posąg by mój stał, stworzony głoskami,
Z napisem Patri Patriae.....

O ile jednak Słowacki miał pełne prawo uważania się za ojca ojczystego języka, o tyle my nie mamy prawa uważać Go jedynie za władcę, za autokratę słowa, a twórczość Jego, za mistrzowską żonglerkę słów. Dziś już do przeszłości powinien należeć frazes „kościoła bez Boga", jakim zwalczano Słowackiego. Od władztwa nieograniczonego nad słowem przeszedł do służby ducha i kapłaństwa słowa. W „Genezis z ducha", ma już za sobą drogę od słów do SŁOWA. Daje temu wyraźne świadectwo, gdy powiada na wstępie:

... Duch mój przed początkiem stworzenia był w Słowie,
a Słowo było w Tobie, a jam był w Słowie.

Na swoje uprzednie mistrzowskie elukubracje patrzył w tym okresie z pewnością w ten sposób, jak na „wierszyki", w których „język się jego wałęsa i bawi zęby trzonowe". Oficjalna krytyka długi czas i jeszcze poniekąd do dziś dnia nie uznawała i nie uznaje tego stanowiska poety, lub powtarza jego autokrytyczne sądy z przymusem i bez przekonania. Do niej, która rozgrzebuje i zanieczyszcza w pysze Lafontaine'owskiej żaby, to, czego nie pojmuje, można odnieść słowa twórcy „Genezis":

„Zrozumcie, iż słowo jest duch... na dysputę przychodzicie, a ja chciałbym, abyście się wnętrznie odrodzili i w sobie, duchem podniesionym wszystko znaleźli. Albowiem, gdym podniósł ducha, to mi przez rok cały każde źdźbło trawy, każdy ślimak oceanowy dzieło duchowe opowiadał".

Niestety ci „pomniejszyciele olbrzymów" radzą sobie nawet z wołaniem poety i głos Jego tłamszą poduszkami chwalby i kamieniują SŁOWO słowami. Trudno, — są to przecież „ludzie rozumu", którzy według wyrażenia poety, „kupczą teraz entuzjazmem ludzkim".

Młodzi i żywi wiedzą jednak dobrze, że Słowacki to nietylko władca słów i ich „przemożny pan", że Jego postać to nietylko posąg mistrzowskiego słowa, posąg, który

..... błyska skrami
Spogląda z góry na wszystkie języki,
Lśni, jak mozajka, śpiewa, jak słowiki.

Młodzi wiedzą, że Słowacki:

Jest to duch ogromnego wieszcza i człowieka,
Wiatrak niby ze skrzydły jasno słonecznemi
Ciągle porywający świat kosmiczny w górę.

Słowacki, to przedewszystkiem kapłan słowa, a potem dopiero władca słów i mistrz formy.

Dziś poprzez zasieki lat idzie ku nam Słowo w glorji słońc, które jeszcze nie zeszły, w glorji Sławy...

Sława! Sława! Sława!

Skłon, pochylonych kornie słów przed SŁOWEM.

A. P.

Oryginalny drzeworyt **Zdzisław Gedliczka**

Nie obojętny więc o Panie jest mi kolor
każdy i kształt listka każdego, albowiem odkrywa
mi ducha naturę, i pracę mi własną niegdyś w roślinie odbyłą opowiada . . .

— — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — —

A taką jest dziś droga Ducha człowieka, jaka
była przed wiekami ścieżka przezeń wybita, gdy
szedł do celów ostatecznych liściem rośliny.

(„Genezis z Ducha")

Bohdan Szyszkowski.

U źródeł Genezis z Ducha.

Nie mamy prawie żadnych danych, dotyczących powstania Genezis z Ducha. Jedni upatrują w tym utworze dzieło przyrodnicze, dla innych jest wspaniałą wizją, jak Objawienie św. Jana, są również tacy, co chcieliby w nim widzieć wstęp do metampsychozy, napisany pod wpływem mistyków; lecz nikt, oprócz Lutosławskiego, nie odczuł w nim kulminacyjnego punktu rozwoju filozoficznej myśli naszego wieszcza, myśli, co w chwili natchnienia, na skrzydłach tej potężnej i cudnej modlitwy, wzniosła się ku Bogu, i stała się w dosłownem znaczeniu tego wyrazu łącznikiem pomiędzy Stwórcą i stworzeniem.

W epoce Słowackiego panowały poglądy Schellinga i Hegla. Obaj ci mistrze niemieckiego idealizmu stracili kontakt z rzeczywistością i stworzyli filozofję przyrody, w której dla żywej, dla otaczającej nas przyrody nie było miejsca; od nich więc nie mógł nic zapożyczyć Słowacki. Nie miał on w sobie pychy szatana i z własnej myśli nie śmiał tworzyć świata, ale zwrócił się do stworzenia, by w jego kształtach i w jego dziejach myśl Stwórcy odczytać. Tu mógł łatwo zabłądzić, lecz wieszcza intuicja, powinowactwo myśli może, zrządziły, że w nauce Lamarcka znalazł wierne oparcie.

Naukę Lamarcka musiał znać Słowacki dobrze, z pierwszej, czy z drugiej ręki, wszystko jedno. Świadczy o tem faktyczna treść Genezis, jak również głębokie ujęcie myśli przewodniej wielkiego francuskiego zoologa o transformizmie. Losy lamarckizmu świadczą jeszcze dobitniej o tem, iż wieszcz nasz czerpał swe wiadomości o prawach rządzących żywą przyrodą u Lamarcka, a nie u Goethego, ani żadnego innego przedstawiciela ówczesnego ewolucjonizmu.

W epoce Lamarcka i Goethego zadanie przyrodnika było nadzwyczaj trudne i odpowiedzialne. Gruby i naiwny witalizm panował jeszcze wszechwładnie, życia nie starano się objaśnić, lecz dogmatycznie uznawano je za właściwość organizmu w ten sam zupełnie sposób, jak lekarz Molierowski tłumaczył usypiające działanie opium jego usypiającą własnością. Rozumna walka z tak pojętym witalizmem była najpierwszem zadaniem nauki. Lamarck nie zaszedł w niej zadaleko, w każdym jednak razie musiał w swem dziele położyć główny nacisk na formalne i wewnętrzne warunki ewolucji, a zostawić zupełnie w cieniu, w stanie niemal utajonym, czynnik niematerjalny, co tą ewolucją kierował. Pod hasłem tej walki przeszedł prawie cały wiek dziewiętnasty; w zapale bojowym niektórzy z tak wybitnych uczonych, jak Haeckel, posunęli się tak daleko, iż usunęli ze świata, jako zabobon, wszelki pierwiastek duchowy; w szyderstwie swojem Haeckel nazwał duszę „ein gasförmiges Wirbeltier", a w Polsce Świętochowski pisał: „Czytając wyrażenia Słowackiego o duszy, zdaje nam się, że je napisał genjalny Irokez".

Ku schyłkowi ubiegłego stulecia siły i temperament materjalistów zaczęły się wyczerpywać, a nauka bogatsza w plony obserwacji i doświadczeń, zebrane podczas walki i tryumfalnego pochodu materjalizmu, jak rola użyźniona pracą ludzką, stała gotowa pod posiew myśli. Teorja transformizmu Lamarcka odżyła wtedy w nowej postaci, w t. zw. neo-lamarckizmie.

Jeden z najwybitniejszych jego przedstawicieli, amerykański przyrodnik Cope, widzi główną przyczynę ewolucji nie w warunkach zewnętrznych i przypadku, ale w nieustannie działającym wewnętrznym wysiłku organizmu. W szerszem ujęciu filozoficznem wysiłek ten jest niczem innem, jak **„elan vital"** Bergsona i **„pęd duchowy żywota"** Słowackiego. Ciekawem jest, iż Cope, rozwijając podstawową, choć utajoną, myśl Lamarcka i zostając w dziedzinie czystej biologji, w końcu dziewiętnastego wieku doszedł do tej samej zasady ewolucji, co Słowacki pięćdziesiąt lat przed nim.

Ta karta z dziejów nauki przekona nas lepiej od wszelkich dokumentów, papierów i bezpośrednich świadectw o źródłach twórczości naszego wieszcza. Nie na piaskach lotnych fantazji wzniósł on swój strzelisty gmach modlitwy, lecz na skale czystej wiedzy, zaczerpniętej u Lamarcka, na mocnej skale rzeczywistości, którą rozumem przeniknął, a sercem wyczuł. Powinowactwo Słowackiego z Bergsonem jest nam również zrozumiałe, gdyż ze wszystkich biologicznych teorji ewolucji, teorja Cope'a najbliższa jest duchem „Ewolucji twórczej" Bergsona.

Poglądy Goethego, w nieco odmiennej postaci odżyły obecnie w neo-witaliźmie niemieckim, do którego najwybitniejszych przedstawicieli należy zaliczyć Driescha i Reinkego. Zasługa tej teorji polega na dostarczeniu niezbitych dowodów doświadczalnych istnienia pierwiastka pozamaterjalnego we wszystkich procesach życiowych, lecz całokształtu życia, w jego rozwoju, teorja ta ująć nie może.

W kontrastowem świetle neo-witalizmu wspólność przewodniej myśli Bergsona i Słowackiego występuje jeszcze wyraźniej. Wobec wciąż skupiających się dowodów, porównanie tych dwóch mistrzów w żadnym razie nie może być uważane za dowolne, ale odwrotnie staje się wprost nakazane i konieczne. Jeszcze mocniej ugruntujemy się w tem przekonaniu, jeżeli chwilą myśli wrócimy wstecz i damy się porwać prądowi, co przygotował i wyżłobił historję rozwoju Europy w dziewiętnastym wieku.

Według nadzwyczaj rozpowszechnionego w Anglji poglądu, teorja ewolucji powstała i rozwinęła się pod wpływem panujących w Europie stosunków społecznych, i była niejako ich odzwierciedleniem. Tak więc we Francji idee wielkiej rewolucji francuskiej i epoki Napoleońskiej odbiły się w transformiźmie Lamarcka. W doktrynie tej organizm doskonali się przez użycie, swych organów tj. przez ich funkcje, i od niego samego, od jego wewnętrznych zdolności, od użytego wysiłku, zależy wprowadzenie tego prawa do doskonałej formy w czyn. Czy nie jest to, rzeczywiście, oddźwiękiem haseł wielkiej rewolucji i wojen Napoleona, gdy żołnierz nosił w tornistrze laskę marszałkowską? Czy nie jest to odbiciem i wcieleniem ideałów największego z łacińskich narodów?

W Darwinie znów odbiła się przemysłowa rewolucja w Anglji. Anglik zimniejszym i praktyczniejszym rozumem oderwał się od idei Króla-Ducha, którą była brzemienna wielka rewolucja, epopea Napoleońska i lamarckizm. Postęp on widział w powolnem i ciągłem doskonaleniu narzędzi produkcji i samego siebie, w zastosowaniu się do warunków rynku, w konkurencji; idee te doprowadzają do szalonego rozwoju przemysłu i handlu, graniczącego wprost z rewolucją, a w nauce, jak na płycie fotograficznej odbijają się w dziełach Darwina, które stanowią jakby epopeę rozkwitu mieszczaństwa.

Losy teorji ewolucji i nadal grają rolę barometru rozwoju społecznego. Po wojnie francusko-niemieckiej, ideologja pruska, opierającą się na przekonaniu, iż Niemcy są narodem wybranym, odbija się w teorji dziedziczności Weissmanna.

Co wniosła Polska do teorji ewolucji? Otóż, pierwsza, przez natchnione słowa swego wieszcza „iż **wszystko przez Ducha i dla Ducha jest stworzone, a nic dla cielesnego celu nie istnieje"**, nadała duchowi kierowniczą rolę w ewolucji i przyszły tryumf ducha nad materją z krainy mglistych marzeń przeniosła do rzeczywistości i ściśle związała z rozwojem świata. Pięćdziesiąt lat potem tę samą prawdę objawiła światu Francja przez usta Bergsona, i podczas ostatniej wojny w czyn ją wprowadziła.

I innych haseł w owej epoce wnieść Polska nie mogła, to co wniosła ona do teorji ewolucji było odblaskiem gorącej i niczem nie dającej się stłumić wiary narodu w swoją nieśmiertelność, wiary, która chwilami, jak pod sztandarami Napoleona, a później w pieśniach naszych wieszczów wybuchała do nieba słupem płomiennym.

Widzimy więc, iż porównanie Słowackiego z Darwinem, które tak często spotykamy, nie da się niczem usprawiedliwić, nie tylko pod względem naukowym, lecz i ideowym; odwrotnie, stoją oni na wręcz przeciwnych biegunach ewolucji i nie mogliby się nawet zrozumieć dla tych samych powodów, dla których współczesna im Anglja nie mogła zrozumieć Polski.

Zupełnie inny stosunek łączył Francję z Polską. Oba te narody, wychowane na wspólnej kulturze łacińskiej, wykazywały w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku wielkie powinowactwo duchowe, nic więc też dziwnego, iż we francuskiej myśli naukowej znalazł Słowacki zdrowy i pożywny grunt dla rozwoju swego wieszczego natchnienia.

Do tego samego gruntu i do tego samego jego poziomu w nawarstwieniu ubiegłych lat sięgają korzenie twórczości filozoficznej Bergsona. Grandjean nazwał dzieło Bergsona rewolucją w filozofji i, rzeczywiście, w dziele Bergsona odżyły hasła wielkiej rewolucji i doby Napoleońskiej, i duch Francji z uśpienia po **„bytowaniu dłuższem w materji"**, zaczął się budzić i gotować do czynu.

Gdy się wczytamy w „Genezis z Ducha" i w „Evolution creatrice" odczujemy w nich nie dwa odrębne utwory, ale dwie cudne i wspaniałe warjacje na ten sam temat: **„a duch wszelki naprzód idący, chociażby skazę miał i niedoskonałość, przez to samo, że już twarzy swej ku celom ostatecznym odwrócił, choćby daleko był jeszcze od doskonałości, wpisan jest wszakże w Księgi Żywota".** (Genezis z Ducha).

W straż kolumnowym czołom...

I.

Zjadą się mrowia, jako na odpust i będą szumieć.

Będą dyszeć na dworcach żelazne smoki pociągów, wyrzucając z brudnych trzewi nieprzejrzane mnóstwo snobów i gapiów i narodowych płaczek. Zalegną trybuny z oczyma błyszczącemi żądzą widowiska, zatupocą szybkiemi krokami po brukach biegnąc za małą, smutną trumną Olbrzyma.

Prawda. Zagrają orkiestry i zatrzepocą flagi na wietrze.

Prawda. Oddadzą salwy oklasków i race efektownych mów pogrzebnych zapalą.

Prawda. Zadeklamują mu wiersze, których jakże pobłażliwie wysłucha i zrobią Mu przez radio żarliwą propagandę.

Ale to wszystko będzie czcze i puste. Rzeczywistość rozegra się gdzieindziej, za kulisami widowiska.

II.

Dzwonie Zygmuncie!

Ty jeden może wiesz co się stanie, gdy runie ponad wieżami i łanami pszenicy twój głos, gęsty od krwi skrzepłej i dźwięczny od złota.

Ty jeden może wiesz o tej niezmiernej Sławie i Legendzie, która drgnie naraz i ruszy falami przez powietrze.

Ty jeden zadzwonisz tam wyżej, w płaszczyźnie ducha, nietylko w płaszczyźnie człowieka. Ci, których tam pobudzisz i na płomienne święto zawołasz, zerwą się i jak ów kanclerz oszalały na pozew Samuela odkrzykną: Jestem przytomny!

I my jesteśmy przytomni. I nam pozwólcie świętować z wami.

Na rogach ulic, w kotle błahych zdarzeń, na piątych piętrach i na poddaszach czuwamy wpatrzeni w niebo jedną ogromną, srebrną, niezmrużoną źrenicą.

My wątłe pachołęta Twoje, nieudolni epigoni, drżący w poczuciu niedołęstwa pod ostrym gradem Twoich słów i pod patosem ducha Twojego, jak pod wichurą.

My, poeci, których Tyś sidłał w dzieciństwie w złote gwiazdy i w purpurowe anioły. My poeci, których zapalałeś jak rzędy lamp jednym zamachem Twojej oślepiającej żagwi. My poeci, którym nie wolno zapomnieć, żeśmy wtajemniczenie Słowa wzięli od Ciebie...

III.

I oto jest to nasze triumfalne, powitalne weselisko. Oto jest ten dzień, cały kapiący od słońca i pieśni, kiedy wracasz ku nam zdaleka i Twój niezmierny srebrny cień przesuwa się przez niebo wprost w oczy, wprost w serca.

— — — — — — — — — —

Słyszę już głuchy, stłumiony tętent, od którego zadygotała ziemia, westchnęły liśćmi lasy i niebo zaszumiało jak potrząśnięta jabłoń od mnóstwa gwiazd spadających.

Słyszę ten turkot mistyczny, od którego dławią się gardła i krople potu osiadają na skroniach.

Zajeżdża poprzed wawelski dworzec Wielki Wóz od łez anielskich oszroniały. Powoli obracają się ogromne, gwiezdną mgłą obłóczone koła. Do dyszla przyprzęgłeś wielkie, grzywiaste chmury słów Twoich, jak gorejące rumaki.

Możeś to Ty?

Salwator z „Akropolis"?! W gromach zajeżdżasz na Wawel, z łoskotem pękających czół kolumnowych, gdy ponad Tobą wysokie niebo jak witraż Bogiem krzyczący wyrasta.

IV.

Patrzcie w dół! Tam na dnie ulic! Ileż ludzi!

Dzwony tam jęczą, powietrze faluje, światła się kołyszą — jak motyle na gromnicach. Gdy Ty już tutaj lazurowy odblaskiem wieczności wypełniasz sobą, jak falą krużganki królewskiego dworca, trumna Twa jeszcze łomoce wciąż po kamiennej powłoce miasta.

Trumna Twoja ciężka, jak góra i jak noc czarna. Trumna Twoja, jak olbrzymi Giewont ze spiżu, z garścią prochów pod wiekiem, jak pod kolczugą.

Cień pada od niej na mury. Gnie się ziemia pod nią i gną się struchlałe grzbiety przed jej nasępionem spojrzeniem.

Rozumiem Ciebie Trumno, która powracasz z daleka.

Pytasz, czy to jest ta Polska, o którą się krwawiło i czy tak miała wyglądać właśnie?

V.

A teraz się zaczyna nad Wawelem to, czegośmy czekali, wzlot czaru, igrzysko nieprawdopodobieństw, wielka niedziela Słowa, które ożyło nagle.

Zelektryzowałeś je Twojem przyjściem, Ty słowo-powiewny, którego imię Słowacki.

Zewsząd się podniosło chmarą jak pył i ptactwo. Aż się rzęsisto odeń uczyniło w powietrzu. Słowami wytrysła przestrzeń, słowami się osnuły gałęzie drzew i wieże kościołów. Jak roje pszczół zawirowały w złocistych słupach nad krasnym Krakowem, jak nad miodowym plastrem. Zaświergotały na cięciwach promieni, rozbłysły we wszystkich oknach otworzonych nagle na przestrzał i usiadły na drutach telegraficznych, jak jaskółki.

Szło się w zaspach słów, jak w kwieciu, brnęło się jak w strumieniach szemrzących pereł i nabierało się ich w garście, jak białych kul gorącego śniegu.

Uczyniło się od nich pełno i gęsto i dostatnio. Dodały ożywczego kwasu do ludzkiego lenistwa i poczęła fermentować praca, aż urosło życie w jędrny, razowy chleb Boży. Rozpulsowały sie niemi serca, jak świeżą krwią i poczęły miłować na nowo i goręcej. Upiły się niemi głowy i stały się radosne i mocne i płonące.

I pisał niemi Salwator swój największy, ostatni wiersz o WYZWOLENIU, O PRZEMIANIE.

Jerzy Braun.

Obywatele!

Nie żałujcie grosza na cele oświatowe

T. S. L.

Jan Las.

„Anhelli".

Było ich dwudziestu i czterech w klasie gimnazjalnej piątej. Same otwarte łby; ani jednego „kujona". Nosili czapki na bakier, bo tak nakazywała klasowa moda, stworzona przez smagłego Grzesia, który zawsze nosił twarde mankiety. Chodzili na wszystkie footbalowe mecze i — już wstydliwie, w tajemnicy — czytali Maya.

Byli zbyt ostrożni, by dać się komukolwiek wziąć na kawał i zbyt mądrzy, aby się czemkolwiek przejąć. Każdy sądził, że sam wie o wszystkiem najlepiej — w razie potrzeby czynili front wspólny przeciw profesorom.

Ot, taka sobie klasa piąta, jakich wiele. Kiełkujące rozsądki przerosłe w wybujały krytycyzm, czternastoletnie serca, dla których niema kresu poczynań i zdobyczy.

Jur mówił, że dnie i tygodnie płyną za powoli, że pięć godzin spędzonych nad książką, to niepowetowana strata. „Dobrze gada" — wołali z nad zeszytów z prędko przepisywanemi matematycznemi zadaniami dwaj drągale, zerkając szybko na drzwi, czy nie wchodzi profesor.

— Owa, świat stoi na grece! — jęczał gruby „Bulaś" wywlekając z teczki Homera, aż razem z „Ciacią", waląc w takt oburącz w ławkę i przytupując jak do mazura, deklamować jęli:

— Me ninaeide teape lei adoa chileos.

Razem z dzwonkiem wpadł do klasy „Pączuś", rumiany i rozwichrzony, jak zwykle.

— Witaj poeto! — wrzasnął „Kmicic" trafiając go celnie odłamkiem kredy w bluzę, między drugim a trzecim guzikiem.

— Cicho! Dziś o czwartej w ogrodzie Grzesia. Mam coś nowego.

Potem szurganie nóg w ławkach, wymuszony spokój, kroki profesora w korytarzu.

Ho — ho! Klasa piąta jest mądra. Już wie, że lepiej z „belframi" nie zaczynać.

W ogrodzie u Grzesia schodziło się kilku zaledwie. Czytali książki. Nic stojącego w najdalszym choćby związku ze szkołą. Broń Boże!

Były tam jakieś „Pogadanki ekonomiczne", jakieś „Antropologje" i inne mądre księgi, kupione sumptem zamożniejszych kolegów lub pożyczone od jakiegoś kuzyna, czy wuika. Przez miesiąc czytano „Popioły" Żeromskiego, bo starszy brat Jura, co to za miesiąc zdaje maturę orzekł, że to za trudne dla takich smarkaczy.

Nigdy wszakże dotąd nie czytano wierszy. Jedni orzekli wręcz, że ich to nudzi, inni przypominali sobie na widok poematu nosową deklamację profesora i wybuchali niewstrzymanym śmiechem.

Dziś zdarzyła się rzecz wyjątkowa. „Pączuś" zwykle spokojnie przyjmujący propozycje innych, przyniósł jakiś tomik oprawny w czerwoną okładkę i uparł się, że będzie coś czytał.

Poezje. I to czyje? Słowackiego? Znali go wszyscy. „Urodził się w roku 1809 w Krzemieńcu — a umarł w roku 1849 w Paryżu. Napisał wiele utworów, jak „Jan Bielecki", „Kordjan", „Balladyna" i inne". Umieli to wszyscy na pamięć, bo tak chciał profesor, a jak profesor zechce, to może także zapisać dwóję w notesie, w katalogu, na świadectwie, osadzić do karcera, powiedzieć ojcu — a w każdym razie na końcu lanie gotowe w domu.

Czytali nawet „Jana Bieleckiego". Był nudny jak lukrecja. Przez cztery tygodnie na każdej lekcji polskiego odpowiadało się na dziesiątki pytań w rodzaju: „Kiedy odbywa się akcja?", „Na czem polega tajemniczość?...", „Do czego porównuje poeta w wierszu tym a tym?..." Nawet „Pączuś", który w pierwszym dniu przeczytał cały otwór (i to nie w szkolnem, skróconem wydaniu) od deski do deski, cytował na pauzie wiersze na pamięć, a podczas lekcji wyrywał się jak opętany, niby że wie już naprzód jak i co, — ku końcowi jakoś umilkł i nie wzruszył się nawet wyklęciem Bieleckiego, jego śmiercią i poświęceniem Anny.

Wreszcie uchwalono, że trzeba mu pozwolić.

— Dobry jest chłop. Słucha wszystkich. Zadania daje odwalać. Niech mu będzie. Poczyta, aż się znudzi. Grześ, weź na wypadek piłkę!

Ale „Pączuś" zaczął niebyle jak. Kiedy wszyscy zasiedli na trawie „po turecku", otworzył czerwoną książeczkę i naprzód odczytał głosem tajemniczym, który budził dreszcz.

— An—hel—li.

— To niby ten utwór, co? — zagadnął „Kmicic" z głupia frant.

— Cicho! Ładny tytuł; jakby kto westchnął — odparł drugi.

— Może ziewnął — odrzucił nieustraszony żartowniś, ale już nikt się nie śmiał, bo „Pączuś" czytał dalej.

Czytał, jak to na ziemię sybirską przyszli polscy wygnańcy. Biała równina śniegów oddzieliła ich od ojczyzny, wiatry zimne zawiały ślady ich stóp pielgrzymich, więc smutni byli i niemi. Z płaczem budowali chaty drewniane w obcej ziemi, rozpacz beznadziejna targała ich piersi.

Aż przyszedł wódz plemienia sybirskiego, książę i czarodziej i wybrał z pośród nich jednego, aby zobaczył wszystko i cierpiał za wszystkich.

I poprowadził go w step, między zgłodniałe dzieciątka, w turmy jęczące szelestem łańcuchów, w podziemia tętniące odgłosem kilofów, kędy w jarzmie najeźdźcy tęskniła do wolności polska krew.

I napełniła się dusza Anhellego tęsknotą tak wielką, że w noc miesięczną nad brzegiem sybirskiego jeziora „poszła po gościńcu złotym, co jest na wodzie od księżyca" i chciała ulecieć do ojczyzny.

Ale ją Szaman zawołał; więc wróciła jęcząc.

(„Pączuś" znał widocznie już przedtem cały utwór, bo opuszczał trudniejsze ustępy, odwracając szybko kartki, przyczem ręka mu ze wzruszenia drżała; potem z głową opuszczoną i zmarszczonemi brwiami wyszukiwał najpiękniejsze ustępy — i znów po chwili ciszy rozlegał się głos jego, trochę monotonny, przytłumiony — dziwnie dostrojony do treści czytanych fraz.

Chłopcy opierali głowy na dłoniach. Słychać było ich ciche, rytmiczne oddechy.

A kiedy biedni, słabi wygnańcy, którzy w szczęściu dobrymi ludźmi być mogli, ale w rozpaczy zmienili się w zbrodniarzy, zabili proroka Szamana i sami wzajem na śmierć się zagryźli, ostał Anhelli sam i rozciągnęła się nad nim ciemna, długa noc sybirska. Po niebie ciągnęły łuny zorzy północnej, jak hufce zdala nadciągających rycerzy i gasły, nierozjaśniwszy jego śniegowej samotni.

Więc zapominać począł, że światło gdzieś ziemię rozjaśnia, że w świetle tem kąpią się ludzie szczęśliwi, że światłem tem jest mowa ojczysta, słodka jak pocałunek matki, kojąca jak śpiew zapomnianej, dziecinnej kołysanki.

(Jur zerwał się i kroków parę uczynił po chrzęszczącym piasku ścieżki. Zatrzymał się. Pięści miał ściśnięte i gryzł górną wargę.

Grześ rwał w palcach źdźbła trawy, nie wiedząc o tem wcale zapewne.

Ktoś westchnął i zawstydzony, zerknąwszy dokoła wzrokiem, czy nikt nie zauważył, usiłował ubrać twarz w wyraz obojętnej uwagi).

Aż raz przyszli do Anhellego aniołowie, aby mu rzec wolę Bożą. Ci sami aniołowie, którzy niegdyś byli u Piotra. Pierwsi i ostatni.

A wtedy Anhelli rzekł im, iż męka jego jest ponad miarę, że chciałby już umrzeć.

(— Nie! Nie! — szepnął przez zaciśnięte zęby Jur i uczynił taką minę, jakby się chciał rzucić na czytającego.

Wszyscy siedzieli skurczeni, jakby gotowi do skoku.

— Nie umrzeć! Doczekać! — wołały ich młode serca, bijące jak młoty. Każde ich ścięgno było skurczone cierpieniem, w krwi przelewała się utajona moc czynu, wyzwolenia, której tamtemu, na ofiarę spokojną przeznaczonemu, brakło).

Umarł więc — a nad nim anioł litości rozpiął swe skrzydła i płakał zmarłego.

(Tu zwrot. Głos czytającego spotęgował się do nieprzewidzianego napięcia. Powietrzem przeszedł podnoszący włosy na głowie powiew natchnienia).

„I oto nagle z płomienistej zorzy wystąpił rycerz na koniu, zbrojny cały i leciał z okropnym tętentem". Leciał i wołał, leciał i budził.

„Oto zmartwychwstają narody". Powstańcie! Wszyscy jak jeden mąż i wszyscy jak jedno ciało! Jutrzenka wolności świta. Ojczyzna was woła do pracy. Do pracy nad siły, wysiłku, potu i krwi, poświęcenia i zdobywania!...

Zerwali się wszyscy. Zdławione, dziecinne, naprawdę dziecinne głosy, które już wzruszenia ukryć nie usiłowały, zlały się w jeden okrzyk.

— A znak na chorągwi? — pytał jakiś głos tak niespokojny, jak głos w ciemności zabłąkanego dziecka.

„Pączuś" odrzekł cicho, natychmiast — wiedział dobrze, że to rzecz niecierpiąca zwłoki:

— Lud.

Chwila niepewności... Potem ktoś z determinacją, głośno, mocno odrzekł:

— To my.

I ręce czternastoletnich chłopców, ot, takiej sobie klasy gimnazjalnej piątej, o wybujałym krytycyźmie, złączyły się uściskiem mocnym jak stal, uściskiem, w którym nie było ani krzty niewiary, ani odrobiny zwątpienia.

O zmierzchu zwolna zapadającym w ogród, wśród drzew przybierających z każdą chwilą bardziej pozór wysokiego sklepienia, szła nad młodem pokoleniem odrodzonej Polski rzeźwiąca moc wcielonego w nich cierpienia, którego sami — o szczęście jasne! o radość niezmierna! — w realnem, rzeczywistem swoiem życiu nie zaznają nigdy.

Od ambicji — do poświęcenia.

(Szkic syntetyczny).

W dniach, w których zwłoki Słowackiego odbywają już swą ostatnią wędrówkę, gdy dla relikwij wielkiego wieszcza zbliża się chwila przeczuta i wyrażona niegdyś w jasnowidzących słowach: **„Kiedyś, matko moja, kiedyś w Westminstrze naszego kraju może mi dadzą kąt jaki“,** — nie od rzeczy będzie zastanowić się raz jeszcze nad tym istotnym elementem każdego prawdziwie wielkiego umysłu, nad świadomością własnej wartości w duszy genjalnego poety.

Prawda — posiada ją każdy — często nawet w stopniu zupełnie niewspółmiernym z istotną skalą uzdolnień. Z niej moc czerpał Mickiewicz do Konradowych wzlotów ducha, a jeśli dalej w przeszłość literatury naszej sięgniemy, dojrzymy, że nią szczycił się Kochanowski. Wszyscy oni nadzieje swe budowali na „sławy grodzie“, wszyscy spodziewali się i byli tego pewni, że czego im teraźniejszość poskąpi, to im „z lichwą odda czas późniejszy“. Wszakże za typowe zjawisko ambicji literackiej poczytywany jest Słowacki. Byli tacy, którzy go za tę dumę potępiali, byli inni, którzy dumą tą tłumaczyć chcieli całą jego twórczość, wszystkie zamierzenia i dokonania.

Cząstka prawdy zaniknęła tu jak zazwyczaj w podobnych wypadkach, w steku niesłusznych oskarżeń i głęboko zakorzenionych a niekontrolowanych uprzedzeń.

Prawdą jest, że Julek był dzieckiem ambitnem. Ta ambicja wyprzedziła nawet odczucie powołania; żądza sławy była pierwszym popędem twórczym, jeśli dosłownie interpretować się godzi ów znany wyjątek z Pamiętnika, w którym dorosły już, bo 23-letni młodzieniec wyznaje, że w modlitwach dziecięcych przenosił pośmiertną sławę nad doczesne szczęście. Że tę właśnie drogę do zdobycia jej obrał, przyczyny tego szukać należy w tradycjach odziedziczonych po ojcu (pierwszy dramat Juljusza, „Mindowe“ opiera się nawet wyraźnie o temat „Mendoga“ Euzebiusza Słowackiego) i w atmosferze rodzinnej wytwarzanej przez uczuciową, wrażliwą matkę, o której sam poeta pisze: „(Choroba), osłabiwszy jej fizyczne siły, dała nad niemi przewagę imaginacji, karmionej ciągle czytanemi romansami...“

Gdy „blade uczuć dziecko“, myśląc o przyszłości, nieczuło, „że marzeniom da kiedyś wyrazy“, w element osobistej ambicji, popychający je do pisania, wsączać się poczęła coraz mocniej świadomość konieczności tworzenia. Rozumiał coraz jaśniej, że ma przed sobą „krainę duchów do zdobycia“, że przeżycia dziecinne powieści nie kończą, ale ją dopiero zaczynają. Źródło natchnienia, wyczarowane wolą sławy, bić poczęło równo i jednostajnie, tajemnicze moce, rozmyślnie zaklęciem wywołane przez czarnoksięskiego ucznia, objęły nad nim wyłączną władzę.

Stwierdzenie tego powolnego przetwarzania się sił popędowych twórczości Słowackiego znajdujemy w listach do matki z roku 1832. Wyznaje tam: „Dowiedziawszy się o śmierci Goethego, pomyślałem sobie, iż Pan Bóg go wziął z tego świata, aby dla mnie, wydającego poezje, miejsce zrobił na świecie“ (pisane 5. kwietnia 1832), ale o miesiąc nieledwie wcześniej (7. marca) zaznacza wyraźnie: „Od tygodnia zajęty jestem drukiem moich poezyj; za dwa miesiące będziesz je, mamo, miała; to tak samo, jakbyś mnie zobaczyła, **bo ja nie jestem niczem innem, jak mojemi poezjami“.**

Niebawem przychodzi chwila, w której złoża ambicji osobistej przechodzą w duszy wieszcza proces ostatecznego rozkładu. Podsycała je przez czas pewien, wskutek urażonej dumy rodzinnej prowadzona, a tem bardziej pociągająca, że nierówna narazie walka z Adamem. Że „Kordjana“ biorą niektórzy za pracę Adama, daje mu i w tym zakresie pełną satysfakcję. Już wszakże w samym „Kordjanie“, którego pierwiastki autobiograficzne bywają naogół niedość oceniane, zaobserwować możemy pierwszy etap przebudowy psychiki wieszcza. Jaskółczy niepokój Kordjana, jego żarliwa modlitwa o wyprorokowanie nowego celu duszy, jest napewno obrazem stanu poety z roku 1833, a nie z czasu przebiegu akcji dramatu (akt I. pomyślany zapewne na rok 1826, akt II. — 1828, III. — 1829). Wobec tych nowych pragnień i dążeń w cień usuwa się nawet chwilowo jako paljatyw użyte przerzucenie ośrodka ambicji z siebie samego na ukochaną matkę. „Nic mi nie pozostaje, jak okryć ciebie, moja matko, promieniami takiej sławy, aby cię inne pociski ludzi dojść nie mogły. I muszę tego dokonać...“ (30. listopada 1833).

Już w roku następnym poczyna na lutni poety pobrzmiewać coraz głośniej struna skupionej powagi i bezosobistego krytycyzmu. „Biada tym, którzy... przywykną do nadziei znalezienia czegoś dobrego na końcu wędrówki“. (7 listop. 1834). Błędnem jest poświęcanie dla Jutra żywego dziś. Poeta potępia to wszystko, co wzbudziło w nim kiedyś żądzę sławy, i paroksyzm bólu wkłada mu w usta słowa cierpkie, których jednak opanować nie umie. „Bieda wielka, że mój ojciec... zajęty był nadto swoją tragedją „Mindowe“.... Bez tego nieszczęśliwego zdarzenia byłbym wcale do rzeczy, człowiekiem, nie lunatykiem... przebacz mi, mamo..“ (j. w.)

Miejsce ambitnych marzeń zajmuje powoli myśl o cichem, samotnem życiu na ziemi ojczystej, w otoczeniu rodziny. „Domek biały z ogrodem, z jednym sługą; skromny codzień obiad, mała szafa z książkami, oto zakres ograniczający moje marzenia“ (20. paźdz. 1835). Wolność ubierania w realne kształty mar własnej wyobraźni, już nie dla jakichkolwiek innych powodów, ale z prostej konieczności twórczej, „bo — czemże ja byłbym, gdybym utracił te (!) okienko, przez które na świat patrzę“ (j. w.) — oto wszystko, czego Słowacki **dla siebie** pragnie. Słowa te powtórzył w dwa lata później, podczas swej podróży na Wschód, ale tam nosić one będą już znamię niezmiernego smutku, który wieje z kart „Anhellego“. „Bo powiedz, droga, cóż ja mam robić na tym świecie: trzeba lecieć, gdzie wiatr mię powieje i modlić się u Chrystusa, aby mi dał kiedyś ciszę i spokojność... choćby tylko promień wspomnień... pięknych miał upaść na starość moją, jeśli dożyję starości..“ (Bayrut, 19. lutego 1337).

Równocześnie wyrasta w duszy Słowackiego to, czego jej dotychczas brakło, co jej pełnemu skrystalizowaniu się i zdolności wyjścia poza siebie stało na przeszkodzie — spokojna, nieprzesadzona, bezwzględna świadomość swojej własnej wartości. „Wszak pamiętasz, mamo, że jeszcze na Julka dziecko mówiono, że dumny; to wina mojej twarzy i Boga. Zdaje mi się, że Bóg kiedyś miał włożyć moją duszę w orła, co śpi na igłach śniegu, nie budząc się, kiedy wicher obrywa mu pióra, co nie ma przyjaciół i szczęśliwy, że sam patrzy w słońce... takby mi dobrze było ze skrzydłami i z jękiem ptaka w piersiach“. (30 czerwca 1835).

„A teraz — smutny przeszłości echem,
O ludzie, idę za wami,
Choć śmiech wasz dla mnie — szalonych śmiechem,
Łzy wasze — szalonych łzami,
Lecz gdy się znudzę łez zimnych rosą
I zimnych uściskiem prawic,
Duszę mi od was wichry uniosą,
Lecz wichry pełne błyskawic.“

(Ostatnie wspomnienie do Laury. — Veytoux, 30. lipca 1835).

Filozofja smutku i samozaparcia, która poczyna coraz głębiej zapuszczać korzenie w duszę Słowackiego, zwraca jego myśl konsekwentniej i głębiej niż dotąd ku sprawom związanym z odrodzeniem nieszczęśliwej Ojczyzny. Tęsknota za nią, tak pięknie wyrażona w „Podróży na Wschód“, „Hymnie“ i paru wierszach lirycznych związanych z pobytem w Egipcie, bezwzględna myśl krytyczna, która wyraz swój najistotniejszy znajduje w „Grobie Agamemnona“, spływa w olbrzymi ocean natchnienia, z jakiego wyrósł „Anhelli“. Motyw jednostki wybranej na ofiarę spokojną, abnegacji zupełnej w imię idei naród cały ogarniającej, jest pierwszem świadectwem pełnego uświadomienia sobie powolnego stawania się duchowej metamorfozy. Jeszcze duch dawny, w egzotyźmie zasklepiony, buntować się będzie przeciw przyjęciu na się brzemienia poświęceń. Jeszcze z głębi serca wyrwie się jęk: „Czemużem się targał i męczył dla rzeczy będącej szaleństwem? czemu nie żyłem spokojnie? Rzuciłem się w rzekę nieszczęścia i fala jej zaniosła mię daleko i już nie wrócę — nigdy!“ Jednak głos obowiązku odpowie na to rozpaczne wołanie krzykiem tętniącym, jak pochód Tytanów: „Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy“.

Ta walka dwu sprzecznych ze sobą światopoglądów przeciągnie się jeszcze lat parę, Po wzlotach „Anhellego“ znajdzie jeszcze Słowacki dość słów i myśli na osobiste wycieczki satyryczne w „Beniowskim“ i dopiero „Książę niezłomny“ zaznaczy ostatni jego zwrot ku idei bezosobistej pacy. Towianizm i mistyka położą już tylko pieczęć na dokonanem dziele duchowej przebudowy.

W roku 1842, gdy świat glansowanych rękawiczek i codziennych małostek zamknie się dlań bezpowrotnie, aby miejsca ustąpić spojrzeniu w genezyjską przestrzeń wieków, napisze do matki, która nigdy już syna swego zupełnie zrozumieć nie będzie mogła:

„Poznałem, iż nie na to jesteśmy na ziemi, abyśmy szukali próżnej uciechy i posągów przyszłych... ale dla chwały Bożej jesteśmy i dla pracy prostej a czystej i dla wywiązania ducha naszego i dla spełnienia tego“. (17. listopada 1842).

„Dosyć jest ludzi strzegących mizernych swoich pozycyj i dumy własnej i czci światowej i fałszów, ale muszą być i tacy, co zapomną o sobie... Nie mówię, aby mi to łatwo było, abym nie staczał walk z sobą i częścią dumną ducha mojego... ale ufam...“ (18. stycznia 1843).

„O! to słowo straszliwe i wnarodowione u nas: **zrobić karjerę** — ten wąż straszliwy! Zdruzgotałbym go, jak węża...“ (20. stycznia 1845).

„...Teraz zaś — nie należę do siebie — ale mnie Bóg gna — i ciągle każe składać ofiary“. (24. czerwca 1848).

Dziwnie przeistoczyły się w pamięci mistrza nawet i te wspomnienia dziecinnej modlitwy, która niegdyś była wykwitem żywiołowej ambicji, a dziś wydaje mu się świadectwem zupełnego samozaparcia: „Ja lat ośm mając, przysiągłem Bogu w kościele katedralnym, że nie będę przed grobem moim niczego żądał a za to za grobem o wszystko się upomnę...“ (20. stycznia 1845).

Pod grozą zbliżającej się szybkim krokiem śmierci, w ciągłej gorączce twórczej, w szalonym podniesieniu ducha, kreśli słowa, które bratają go z całą ludzkością i rzucają jak ofiarę całopalną na ołtarz wielkiej idei:

„Zatrudniony jestem bardzo, bo mi znów jakby mocne pchnięcie od Boga przyszło do pracy, a mam te chwile, że niby z jakąś rozpaczą rzucam się do papieru, chcąc garściami duszę moją rzucać na ludzi, przemieniać ich w siebie... aż ich urobię podobnych najpiękniejszym ze śmiertelnych. Słowem, podług słów św. Pawła: wyjść z tego więzienia, spłaciwszy ostatni szeląg z siebie“. (28. listopada 1843).

Dr. Juljusz Feldhorn.

Rytm czasu
w przedstawieniu poetyckiem.

Wszelkie rodzaje poezji, o ile nie są czystą liryką, oderwaną od jakiejkolwiek objektywnej treści, zachowują bliższy lub dalszy związek z jakiemś zdarzeniem, z czemś co zachodzi w przestrzeni i czasie. Ta kwestja, jak poeta obchodzi się w swem dziele z parametrem czasu, jaki zachodzi związek między prawami artystycznego przedstawienia a czasem, interesowała mnie żywo. Ponieważ niedawno spotkałem w jednem z czasopism artykuł prof. Kleinera na pokrewny temat, ujęty zresztą inaczej niż ja go pragnę ująć, śpieszę dodać także swoje uwagi.

Punktem wyjścia moich rozważań była obserwacja następująca. Niekiedy poeta, przedstawiając pewną objektywną sytuację, zachowuje się tak, jakby bezwiednie lub świadomie ignorował nasze konwencjonalne wyobrażenia o stosunkach czasowych, zachodzących w danem zdarzeniu. Stąd szereg zarzutów „nielogiczności“ jakie stawiano, szereg konceptów i satyr. W jednym z satyrycznych teatrów rosyjskich (Kriwoje Zierkało) parodjowano np. scenę z opery, kiedy chór śpiewa czas dłuższy „ubieżim, ubieżim“ stojąc beztrosko na miejscu. Rzecz jasna, że w życiu realnem uważalibyśmy takiego, coby się tak zachowywał, gdy niebezpieczeństwo mu grozi, za będącego niespełna rozumu. Ale weźmy zupełnie konkretny przykład.

Oto mamy przed sobą utwór Słowackiego „Sowiński w okopach Woli“. Cały ten utwór jest oparty na takiej „nielogiczności“ w przedstawieniu stosunków czasowych. Jenerał „wrogom się broni szpadą“, „jenerał się poddać nie chce“ i mając za chwilę umrzeć, w zamęcie i rozgardjaszu pobitewnym wygłasza spokojną, dobrze i równo rozwiniętą opowieść — skargę, opowieść — testament. Gdyby zastosować naturalistyczną miarę czasu, to trzeba byłoby stwierdzić, że poeta żąda od naszej wyobraźni niemożliwego łamańca: jak w owej operze z Krzywego Zwierciadła, żołdacy z wyszczerzonemi bagnetami muszą znieruchomieć, szable w pół-ruchu zastygnąć, dopóki jenerał Sowiński nie wygłosi swego przemówienia; wtedy czas odzyskuje swe prawa, bagnety zaczynają się poruszać, gorączka bitwy wraca, szabla spada na pierś.

Kto ma rację — poeta, czy my, którzy do jego utworu wprowadzamy naturalistyczną miarę czasu? Otóż spróbuję dowieść, wbrew satyrykom i ich zdrowemu rozsądkowi, że poeta.

— — — — — — — — — —

Proponuję uwzględnić trzy następujące formy, jakie nasze ujęcie czasu może przybierać, w zależności od tego, do jakiego użytku jest to nam potrzebne:

I. **Plan czasu zobjektywizowanego** (ten czas, który mierzą zegary, medjum jednorodne, wszędzie jednako gęste, dające się dzielić dowolnie na części).

II. Plan **intuicji czasu.** — Jest to czas mierzony naszem oczekiwaniem, naszą niecierpliwością, czas psychologiczny, który nie upływa jednorodnie, ale to się wydłuża, to skraca, proporcjonalnie nie do odcinków linijnych, przebieganych przez wskazówkę zegara, lecz do stopnia i bogactwa wypełniających dany okres doznań psychologicznych.

III. Plan **dyskursywnego rozwinięcia** powyższej intuicji. — Jest to czas, potrzebny do rozwinięcia dyskursywnego, zapomocą opowieści zewnętrznej (skierowanej do świadka) lub wewnętrznej (skierowanej do samego siebie), celem zróżniczkowania i intelektualnego opracowania intuicji czasu.

Gdy poeta przedstawia zdarzenie objektywne, to, z punktu widzenia postulatu czasu, nie powinno go nic lub prawie nic obchodzić to, co się odnosi do Planu I. Kwestja objektywnej chronologji zdarzenia jest rzeczą absolutnie dla artystycznej wartości dzieła nieistotną. Natomiast istotnemi są Plan II i Plan III.

Krótka jak błyskawica chwila może być tak brzemienna w doznania, z ich siłą i bogactwem, że w Planie III. może rozwinąć się w opowieść trwającą kilka minut, jak w „Jenerale Sowińskim“ lub kilka godzin, jak w „Samuelu Zborowskim“.

Zadaniem poety bowiem nie jest przedstawienie stosunków rzeczywistych, lecz przekształcenie ich na pewien swoisty, pełny psychologicznie. zamknięty w sobie mit.

Właśnie „Jenerał Sowiński“ i „Samuel“ są utworami, w których to zmityzowanie rzeczywistości dosięga wyżyn absolutnej artystycznie doskonałości i dlatego uważam je za najszlachetniejsze kamienie w tej „koronie pamiątek“, jaką nam poeta zostawił.

Jeszcze jedna uwaga. W kwestji „sceniczności“. — Ogólnie jest przyjęte zdanie, że „Samuel“ jest utworem niescenicznym, właśnie dlatego, że akcja pod względem przedstawienia stosunków czasowych jest pełna takich „nielogiczności“ jak powyższa.

Otóż: 1° rzecz cała z „logiką“ nie ma najmniejszej styczności;

2° jest sprzeczna nie z „logiką“ ale z naszem nawyknieniem naginania mitu artystycznego do naszych konwencjonalnych przedstawień czasowych (pomieszanie Planu I z II i III.);

3° „Samuel“ jest utworem nawskroś scenicznym (i nawet „Sowiński“ mógłby być „grany“ bez narażenia go na śmieszność!);

4° Takie utwory jak „Samuel“ wydają się niescenicznemi dla widza naszych czasów, wykarmionego na głupich „estetykach“ i „stylistykach“, oraz dla naszych inscenizatorów teatralnych, którzy nie mają pojęcia o tem, jakie możliwości jeszcze teatr w sobie zawiera;

5° Potrzeba nam nowego teatru, nie opartego na naturalistycznej fikcji czasu, teatru, w którym powaga i siła przedstawienia kazałaby widzowi zapomnieć o tej fikcji na czas trwania sztuki, a narzuciłaby mu widzenie własne, artystyczne, czasu, oparte na rozwijającej się w szereg dyskursywny intuicji.

Rzeczą postrzegającej świadomości widza byłoby zcałkowanie dyskursywnych momentów akcji we właściwą, potrzebną zamiarom poety, intuicję.

Zygmunt Mysłakowski.

Gdy noc głęboka wszystko uśpi . . .

Gdy noc głęboka wszystko uśpi i oniemi,
Ja ku niebu podniósłszy ducha i słuchanie,
Z rękami wzniesionemi na słońca spotkanie
Lecę — bym był oświecon ogniami złotemi.

Podemną noc i smutek — albo sen na ziemi,
A tam już gdzieś nad Polską świeci zorzy pręga,
I chłopek swoje woły do pługa zaprzęga,
Modli się. — Ja się modlę z niemi i nad niemi.

Tysiące gwiazd nademną na błękitach świeci,
Czasem ta, w którą oczy głęboko utopię,
Zerwie się i do Polski jak anioł poleci;

Wtenczas we mnie ta wiara — co w litewskim chłopie,
Że modlitwa w niebiosach tak jak anioł kopie,
A czasem ziarno ducha wrzuci i zanieci.

J. Słowacki.

* * *

I wstał Anhelli z grobu — za nim wszystkie duchy,
Szaman, Eloe... cała ćma z grobów wstawała
I wszystkie brały dawno porzucone ciała.

A Sybir był zaćmiony, jakby zawieruchy
Ciemnemi i powietrze się ciągle mieszało
I chmury szły i grady błyskały i grzmiało.

Wstaliśmy i ku Polszcze szli — a na cmentarzu
Zatrzymał Szaman ową straszną duchów zgraję
I spytał głośno: Kogo z mogilnych nie staje?

A wszyscy byli; — straszny i zimny grabarzu
Śmierci, gdzież jest twój oścień, gdzie zwycięstwo twoje?
Wszyscyśmy byli — i krwi naszej poszły zdroje.

J. Słowacki.

Zapiska Wawela.

Z pogrzebu Słowackiego zrobić krótką zapiskę kronikarską nie jest łatwo. Obowiązek ten spada na dziejopisarza Wawelu. Jeśli o którym krakowianinie Słowacki nieraz myślał, to o Wawelu, wśród pisania kronik dramatycznych. Wprowadza go na salę tronową Balladyny i robi z niego bałamutnego kronikarza średniowiecznego, który prawdy od baśni nie odróżnia. Kanclerz państwa nazywa go „przemądrym Wawelem“. Tymczasem przemądry Wawel zna doskonale dzieje swojego wzgórza i obliczyć potrafi, że pogrzeb Słowackiego odbywa się w 733 lat po pierwszym pogrzebie wawelskim Kazimierza Sprawiedliwego. Zdumiewająca jest potęga obyczaju, która po tylu wiekach sprowadza prochy autora **Anhellego** na to samo wzgórze, na którem pochowano syna Bolesława Krzywoustego.

Spowite w przędzę legendarną wzgórze, w historycznych czasach zmieniło się w miejsce pielgrzymek do grobu św. Stanisława a potem stało się cmentarzem królewskim, na którym czternastu królów polskich obrało miejsce wiecznego spoczynku, od Władysława Łokietka do Augusta II. W XIX w. powstał tu zaszczytny grobowiec przewodników narodu, dla których Słowacki obmyślił nazwę królów-duchów, za poradą prawdopodobnie Wawela. Z Wielkopolski, Pomorza, Litwy, Rusi, Warszawy, Niemiec i Szwajcarji sprowadzono trumny. Z Francji przybywa trzeci Słowacki. Pierwszym był Jan Kazimierz, a drugim Mickiewicz. Wydarto go z cmentarza na Montmartre „gdzie leżał ze sławy aniołem“ nie sam ale w towarzystwie Gautiera, Murgera, Horacego Verneta i innych. Teraz spocznie obok Kazimierza Wielkiego, Batorego, Kościuszki.

Długo wyglądał tego zaszczytu. Wybrańców Wawelu grzebano zazwyczaj tuż po śmierci, czasem w kilka miesięcy, w rok. Jan Kazimierz czekał na zaszczytny pogrzeb na Wawelu cztery lata, Mickiewicz 35, a Słowacki 78. Już niewielu będzie ludzi, dla którychby data jego śmierci była datą ich życia. Pogrzeb nowego gościa wawelskiego stracił już cechę bolesną i zmienił się w rodzaj wjazdu tryumfalnego dawnych królów na stolicę krakowską. Trumna poety przybyła do nas nie lądem, jak wszystkich dotychczasowych mieszkańców podziemi wawelskich, ale morzem „Korablem“ jak niegdyś Napoleon do Paryża. Poecie dała ta okoliczność pobudkę do napisania wspaniałego wiersza **Na sprowadzenie prochów Napoleona.** Nie przypuszczał wtedy, że także jego pogrzeb przybierze kiedyś takie same legendarne kształty. Wzgórze Wawelu zyskuje nową legendę, schodzącą tuż po cudzie Wisły i cudzie zmartwychwstania ojczyzny. U progu nowej Polski krzewi się bujnie legenda, która wykołysać powinna ważne postanowienia i wielkie czyny.

S. Windakiewicz.

Polono-Italica.

„L'Italia che scrive“ z czerwca br. zawiera wyczerpujący artykuł E. Damianiego p. t. „I studi slavi“. Jest to bilans rozwoju znajomości literatur słowiańskich we Włoszech, w latach ostatnich. Wielkie zasługi ma w tym kierunku od roku wychodzące czasopismo „Rivista di letterature slave“, które między innemi w czerwcu ubiegł. roku ogłosiło numer w całości poświęcony twórczości Kasprowicza. Rozdział artykułu poświęcony przekładom z języka polskiego przytaczam w całości w tłumaczeniu:

„Z pośród krajów słowiańskich Polska po Rosji dostarczyła w roku najwięcej pracy tłumaczom. Prawdziwych gigantów literatury polskiej, jak Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Kochanowskiego, Reymonta, Dygasińskiego, Kasprowicza odkryły nam przekłady pani A. Kulczyckiej („Nieboska Komedja“ Krasińskiego w wyd. „Anonima Romana Editoriale); A. Palmieri'ego („Jan Bielecki“, „Genezis z Ducha“ Słowackiego — wyd. j. w.) E. Lo Gatto („Sprawiedliwie“ — Reymonta — wyd. Stock Rzym; „Hymn św. Franciszka z Assyżu“ — Kasprowicza w „Rivista delle letter. slave“) J. Gromskiej (wiersz liryczny Kasprowicza i nowela Sieroszewskiego — w czasopiśmie j. w.) Cl. Garosci'ego liryki Kasprowicza — j. w.; Irydjon — Krasińskiego — Pubbl. della ser. Romana dell'Associazione A. Mickiewicz, Roma Signorelli) i wreszcie szereg przekładów dokonanych przez podpisanego (E. Damiani), jak „Utwory“ Mickiewicza (Switeź, Sonety krymskie, Farys, wyj. z „Dziadów“ — Florencja, Vallecchi) „Treny“ Kochanowskiego (Associazione A. Mickiewicz Roma, Signorelli) Hymn „Święty Boże, święty mocny“ Kasprowicza (Rev. di letter. slave) „Gody życia“ Dygasińskiego (Milano, — „Alpes“). Ostatni przekład dokonany został przy współpracy p. R. Pollaka.

Wydawnictwo specjalne w formie odrębnego tomu, redagowane przez podpisanego zebrało wreszcie w tym roku liczne prace o Juljuszu Słowackim i przekłady jego dzieł poetyckich i dramatycznych, jedne i drugie dokonane przez E. de Andreis, O. Skarbek-Tuchowskiego, A. Palmieri'ego, L. Kociemskiego, G. Pinelli'ego, Cl. Garosci, G. M. Clarotti, P. E. Pavolini'ego. N. Cimino, R, Passaglia, N. Nucci, D. Senzasono, O. Pinto, R. Pollaka i przezemnie (Giulio Słowacki Quaderno N. 3 „Riv. di Cult.“ Rzym Maglione e Strini).

Wśród opracowań krytycznych zaznacza następnie autor szkic N. Nucci'ego o Krasińskim (Gli ultimi anni d'um poeta attraverso de lettere d'una donna) oraz Michałowskiego i C. Capasso o Polsce — oba drukowane w „Europie orientale“. Pozatem G. Maver pisał o „Trylogji“ Sienkiewicza, a R. Pollak umieszczał „Charakterystyki literatury polskiej“ w wymienionej już parokrotnie „Rivista di cult“. Ukazał się numer specjalny „Vita italiana“ poświęcony Polsce, w którym współpracowali wszyscy wspomniani wyżej wielbiciele literatury polskiej. Także i Damiani umieszczał w pismach artykuły o Żeromskim, Reymoncie „Cultura“) i Dygasińskim („Parola“ w Torino).

Z. N.

Aleksander Łucki.

Nauka Polska Słowackiemu w hołdzie.

Szybkość, z jaką zrealizowało się w oczach naszych — upragnione od dawna, ale od wiosny dopiero postanowione — sprowadzenie do kraju zwłok Słowackiego, zaskoczyła naukę polską. Nie było czasu, by mogła wystąpić z dziełami umyślnie na tę wielką chwilę przygotowanemi, a chwili tej rzeczywiście godnemi. Ale szczęście, które sprzyjało całemu przedsięwzięciu, uśmiechnęło się i nauce. Dziwnie pięknie, choć tylko przypadkowo, złożyło się, że właśnie w tych dniach uroczystych pojawił się czwarty i ostatni zarazem, olbrzymi tom dzieła prof. Kleinera o Słowackim; [1]) wszak najstaranniejsze i najgruntowniejsze przygotowanie się nauki do wystąpienia w owej chwili nie mogłoby przynieść piękniejszego i donioślejszego jej uczczenia.

Jest to owoc i uwieńczenie zarazem wieloletniej pracy najświetniejszego znawcy poety, wielkiego uczonego, obdarzonego przytem wysoką kulturą, oraz niezwykle rozwiniętym zmysłem estetycznym, wrażliwością na piękno. Nie trzeba tu chyba przypominać entuzjazmu, z jakim powitali wszyscy, krytyka i czytelnicy, uczeni i młodzież, poprzednie tomy pomnikowego dzieła; rozbudziły one tem większe nadzieje co do zapowiedzianego tomu ostatniego. Znawcy przedmiotu oczekiwali go z największą niecierpliwością, słusznie spodziewając się, że powinien on przynieść najwięcej nowych zdobyczy, jako poświęcony epoce ciągle jeszcze — mimo świetnych prac Tretiaka, Matuszewskiego, Pawlikowskiego, Grabowskiego i innych — niedość zbadanej, epoce towianizmu Słowackiego. Nadzieji tych prof. Kleiner istotnie nie zawiódł. Otrzymaliśmy nareszcie pełny obraz ostatnich lat działalności poety; olbrzymie rozmiary tomu, liczącego blisko 1000 stron, pozwoliły pokazać tę twórczość tak bogatą, tak gorączkową, w pełnem świetle, poruszyć wszelkie wiążące się z nią zagadnienia, co więcej, omówić je gruntownie a wiele z nich — ostatecznie rozstrzygnąć.

Książka ta zjawiła się, tj. dotarła do Krakowa dopiero przed tygodniem. Nie było niestety czasu, aby ją przestudjować gruntownie, przetrawić całe bogactwo nowej treści, jaką przynosi — i zająć wobec niej stanowisko krytyczne. A jednak niepodobna oprzeć się pokusie, by już dziś, w uroczyste święto Słowackiego, zdać sprawę z ogólnego wrażenia, jakie pierwsze przeczytanie tej książki wywarło: a więc dać wyraz radości, że jest ono istotnie tem wspaniałem uczczeniem chwili; a dalej — stwierdzić, że tom ten godny jest poprzednich wogóle, że pojawienie się jego jest wielkiem wydarzeniem w nauce polskiej. Zamyka się go przedewszystkiem z uczuciem podziwu dla ogromnej wiedzy autora i niezrównanej znajomości przedmiotu. Prof. Kleiner przestudjował twórczość Słowackiego i wszystko, co się z nią w jakikolwiek sposób może wiązać, wszystkie prądy, które znalazły w niej odbicie i składały się na atmosferę epoki, tak gruntownie, iż wydaje się, że twórczość ta niema dla niego tajemnic; poznał psychikę poety, wszystkie kolejne fazy jego rozwoju duchowego, ewolucję jego myśli tak dokładnie, że umie wytłumaczyć każdy utwór, każdą myśl rzuconą na papier, wskazać, kiedy i dlaczego mogła się zjawić. Znawstwo to święci przedewszystkiem triumfy w rekonstruowaniu wszystkich kolejnych redakcyj takich utworów, do których Słowacki wracał w tych latach wielokrotnie; prof. Kleiner z imponującą pewnością nietylko odróżnia w chaosie luźnych kartek, zapisków i notatek te następujące po sobie redakcje takiego n. p. „Beniowskiego", „Zawiszy", czy „Wallenroda", ale i wyznacza chwilę powstania każdej z nich, rozpoznając w nich z łatwością odbicie danej fazy rozwoju duchowego poety.

Obok podziwu zaś dla wartości naukowej dzieła — budzi się uznanie dla jego zalet pod względem artystycznym. Autor rozumie to dobrze, że studjum poświęcone największemu artyście i poecie — powinno i samo odpowiadać wysokim wymaganiom co do formy — to też dbałość o ten poziom widać na każdym kroku. Choćby tylko w kompozycji ogólnej całego dzieła, w rozczłonkowaniu materjału na poszczególne tomy. Każdy z nich kończy się rozbiorem dzieła, w którem skupiała się treść psychiczna całego okresu, i które dlatego powinno się stać ogniskiem w ujmowaniu ducha poety; takim utworem w tomie pierwszym jest — „Kordjan", w drugim — „Lilla Weneda", w trzecim — „Beniowski", a w czwartym — „Król-Duch". Ale ten artyzm kompozycji uwydatnia się i w zakresie samego tylko tomu czwartego. Olbrzymie rozmiary zmusiły do rozłamania go na dwie części, ale podział nie jest wcale mechaniczny tylko, przeciwnie — uwydatnia on zewnętrznie — dwa wyraźne okresy w rozwoju Słowackiego i jego twórczości z lat ostatnich. A więc część pierwsza przedstawia okres początkowy, kiedy to Słowacki pod bezpośredniem, silnem działaniem Towiańskiego dąży do doskonałości moralnej, zwalczenia w sobie wszystkich najbardziej zakorzenionych wad, słowem — do zupełnego odrodzenia moralnego — i w związku z tem w utworach swych daje przedewszystkiem ideały etyczne; część druga — to okres apostolstwa, gdy Słowacki przekonawszy się, że Towiański całej prawdy nie posiadł, uważa za swój najważniejszy obowiązek, to, do czego sam pod wpływem towianizmu doszedł i co przedstawia mu się jako prawda bezwzględna, ogłosić światu — i próbuje w utworach wypowiedzieć swą naukę, swój pogląd na świat ujęty w jednolity system. — Układ wewnętrzny — w obrębie tych części — nie jest ściśle chronologiczny; w każdym z dziewięciu rozdziałów z jakich składa się ten tom, zestawia autor utwory należące do pewnej grupy, pewnego kierunku, chociaż niektóre z nich powstały później, niż pisma omawiane w rozdziałach następnych.

Jak w całem dziele, tak i w tym tomie chodzi przedewszystkiem o „dzieje twórczości"; życiorys traktowany jest tylko jako komentarz do jej zrozumienia i tylko w tej mierze uwzględniony [2]); mimo to jednak dzieło daje pełną charakterystykę nietylko poety, ale i człowieka. Zamiast wyliczać rozrzucone w całem dziele świetne uwagi, spostrzeżenia charakteryzujące człowieka, wolę zacytować choćby jeden, ale piękny, przekonywujący przykład. Omawiając stosunek Popiela do Zorjana w „Królu-Duchu" daje Kleiner taką wspaniałą refleksję: „...żal, jaki (Słowacki) czuł do Mickiewicza, wyraził się w poemacie tak szlachetnie, tak dostojnie i tak zaświadczył o poczuciu sprawiedliwości w świecie, że w ocenie etycznej „Króla-Ducha" zaważyć winien niemało. Słowacki czuł się pokrzywdzony przez „wielkiego Pierwszego" — i wobec tego powiedział sobie, że widocznie kiedyś — wyrządził mu straszną krzywdę".

Niepodobna iść tutaj za biegiem myśli autora, streszczać wszystkich osiągniętych przez niego wyników. Trzeba ograniczyć się do wskazania tego, co wydaje się najważniejszem i najświetniejszem. Więc we wstępnej charakterystyce Towiańskiego i jego nauki, zwięzłej, a jednak przynoszącej po Kallenbachu, Pigoniu, Szpotańskim tyle nowego, uderza przedewszystkiem świetne spostrzeżenie, że był on typem psychologa-spowiednika, który dąży do rządu dusz, ale sprawowanego przez bezpośredni wpływ na jednostkę, nie zaś przez szerszą propagandę; umiał bowiem działać potężnie na człowieka, do którego się zbliżył, natomiast pozbawiony był danych, mogących go uczynić wodzem masy; miał czar ogromny, nie miał potęgi. Doskonałe jest też, określenie miejsca, jakie nauka jego zajmuje w rozwoju myśli europejskiej XIX wieku. — Dalej otrzymujemy piękny portret duchowy Słowackiego z pierwszych chwil po transfiguracji, kiedy to czyni tak wzruszające wysiłki, by wyrwać z swej duszy wszystko, co było jej niedoskonałością — i tak trafnie godzi w sam rdzeń złego. Warto się tu może zastanowić, czy to wynik samowiedzy, autoobserwacji, tak u Słowackiego rozwiniętej, czy też może wskazówek, nakazów Towiańskiego. Nie spotkałem się w dziełach poświęconych Słowackiemu z rozwiązaniem na temat, jak mógł i musiał Towiański do niego przemawiać, czego się od niego przedewszystkiem domagał, ale to pewna, że ten niepospolity znawca dusz ludzkich, wsparty w tym wypadku może wskazówkami Mickiewicza, musiał wytykać jego dumę, egotyzm i żądać walki z temi wadami. I oto Słowacki uznawszy konieczność tej walki dla swego odrodzenia wewnętrznego, czyni wysiłki wyrzeczenia się ciągłej myśli o sobie, nawet wyrzeka się samotnictwa, zdobywa się na miłość i dobroć dla ludzi, na prostotę, spokój wewnętrzny, oddanie się całkowicie posłannnictwu, nawet kosztem szczęścia osobistego.

Odbicie tej walki pokazuje Kleiner w ówczesnej twórczości poety, poświęconej odmalowaniu nowego ideału etycznego. Rozgrupowanie utworów z tego okresu doskonałe. Widzimy, jak z pism rozpoczętych przed transfiguracją — pada jej ofiarą „Złota Czaszka", jak broni się przed podobnym losem „Beniowski", starając się — napróżno, mimo kilkakrotnych prób — dostosować do nowego tonu, — co więcej, jak z ducha „Beniowskiego" rodzi się nowy utwór związany z mistyką tylko zewnętrznie, „Sen srebrny Salomei". I w świetle wywodów autora rozumiemy, że najważniejsze utwory tego okresu, wydobyte z samych głębin duszy poety, wysnute z nowych zdobyczy etycznych tych lat — to „Ksiądz Marek", „Książę Niezłomny", „Zawisza Czarny", ale niemniej i „Agezylaus", „Książę Michał Twerski". „Rozmowa z Matką Makryną"...; nowy ideał człowieka, uwydatniony w tych utworach, polega według Kleinera przedewszystkiem na łączeniu świętości z siłą, potęgą (Anhelli był słaby).

Mimochodem można tu tylko wspomnieć niektóre z rezultatów szczegółowych analiz tych utworów: więc określenie roli „Przedświtu" przy powstaniu „Księdza Marka"; wykazanie, ile weszło do „Snu srebrnego" ze „Złotej Czaszki"; uzasadnienie, że „Książę Niezłomny" jest szczytem etycznego trudu u Słowackiego; wskazanie wreszcie całej galerji książąt niezłomnych w dalszej twórczości poety. Największe pole do popisu dawał rozbiór „Zawiszy Czarnego", utworu — według wyznania Kleinera — najtrudniejszego ze wszystkich do wydania. Rozróżnienie dwóch redakcyj uzasadniono przekonywująco względami tak treści, jak i formy; ale, jak zawsze, nie koniec na tem (tak ważnem i trudnem) ustaleniu tekstu; następuje świetny rozbiór utworu, w którym obniżenie się ideału w porównaniu z „Księciem Niezłomnym" (nawrót do etyki egocentrycznej) wytłumaczono odpowiednią ewolucją w duszy samego Słowackiego. — Wielkie znaczenie „Agezylausa" uwydatnione zostało w całej pełni: w postaci Agisa dał poeta po raz pierwszy nowy ideał, reformatora, rewolucjonisty, którego rewolucja polega jednak na przywróceniu formy dawnej, narodowej i jedynie dla narodu zbawiennej; a i pod względem formy jest „Agezylaus" nowością, pierwszym typem dramatu wizyjnego. — Z kolei zachwycamy się z Kleinerem wielkością tematu „Księcia Michała Twerskiego" (pokazanie prawdziwego ducha mongolskiego, oraz tego ducha sfałszowanego przez Rosję, a obok tego — prawdziwe chrześcijaństwo słowiańskie i świat Zachodu, zmaterjalizowany, bezduszny) oraz poznajemy bliżej ostatnią z galerji „Książąt niezłomnych" Słowackiego, „Matkę Makrynę", określoną, jako najpełniejsze wcielenie ideału calderonowskiego. Tu mimochodem świetna uwaga o realiźmie u Słowackiego, którego ostatnie zwycięstwo w tym właśnie utworze, a którego tematem jedynym — dawny szlachcic polski.

W części drugiej tomu, przedstawiającej okres apostolstwa, głoszenia nauki, można jeszcze wyróżnić dwie fazy; autor nie zaznaczył tego wyraźnie, zewnętrznie, ale uważny czytelnik sam zauważy moment przesunięcia się uwagi Słowackiego od tajemnic genezyjskich — ku celom finalnym reprezentowanym przez Polskę. Niewiadomo, rozbiorowi którego z trzech głównych utworów fazy pierwszej przyznać palmę pierwszeństwa: „Genezis z Ducha", „Samuela Zborowskiego", czy „dzieła filozoficznego". Ustępy poświęcone „autobiografji kosmicznej" znane są już elicie Krakowa z pięknego wykładu, jakim prof. Kleiner uświetnił wiosenne posiedzenie pełnego Komitetu sprowadzenia zwłok Słowackiego. Jeżeli zaś czytelnik, rozkoszujący się świetną analizą estetyczną utworu odczuje brak przedstawienia stosunku idei w nim wypowiedzianych do ówczesnej mistyki i nauki, do Lamarcka, Darwina, czy nawet Bergsona [3]), to zawód ten będzie tylko chwilowy. Zagadnienia te zostały omówione — w ogólniejszym ujęciu — w rozdziale późniejszym, ósmym, poświęconym obrazowi mistyki Słowackiego i jego źródeł. Z trudności, aby na ten temat powiedzieć coś nowego po świetnej książce Pawlikowskiego, wyszedł autor zwycięsko. W wykładzie samego systemu najcenniejszem wydaje mi się wytłumaczenie, jak Słowacki uporał się z problemem najtrudniejszym, pogodzenia Opatrzności Bożej z istnieniem zła na świecie. W rozpatrywaniu źródeł mistyki Słowackiego najświetniejsze są ustępy o Kabale, o Apokalipsie, o pięciu tomikach pism Boucher de Perthes, w których jest cała filozofja genezyjska w formie naukowej, oraz w „Resurrection" Stoffelsa.

W rozbiorze pierwszego dopełnienia „Genezis", za jakie uważa Kleiner „Samuela Zborowskiego", imponuje znowu zdolność i łatwość orjentowania się w kolejnych redakcjach tego najdziwniejszego poematu literatury polskiej, wznawiającego tradycje średniowiecznego misterjum trójdzielnego. Dopełnienie drugie „Genezis" — to wykład całkowity systemu, nauki Słowackiego. Wykład ten zawdzięczamy dopiero prof. Kleinerowi, gdyż przed nim znano tylko luźne urywki, lub chaotyczne notatki — i on dopiero wykazał, że są to wszystko cząstki, ułamki jednolitego „dzieła filozoficznego", co więcej, umie z nich ułożyć ową całość, ustalić kolejne redakcje; wykazuje więc np., jak pierwotny plan wyłożenia nauki w formie djalogu platońskiego, ustąpił myśli, by spisać ją, wzorem Apostołów, w listach.

Faza druga — zainteresowania się przedewszystkiem rolą Polski w ogólnym rozwoju ducha tj. świata, Polski, która ma dawać pełną swobodę duchom wielkim i przez to przyspieszyć królestwo Boże — zaczyna się od walki Słowackiego ze wszystkiem co tę swobodę rozwoju krępuje i postęp opóźnia. W tem właśnie oświetleniu wytłumaczył Kleiner doskonale pisma czysto polityczne, jak „Do autora trzech Psalmów", „Do ks. A. Czartoryskiego", „Do emigracji o potrzebie idei", „O konfederacji" itp., a także nieznany dotąd, a tak ciekawy plan dramatu społeczno-polityczno-eschatologicznego, mającego być odpowiedzią na „Nieboską Komedję".

Ale przygodny fiozof i polityk nie przestał być nigdy, nawet w okresie mistycznym, przedewszystkiem poetą. Nie kończy, nie ogłasza tych dzieł fiozoficznych, gdyż za jeszcze ważniejsze zadanie uznał stworzenie nowej poezji będącej wyrazem nowej epoki. Zawiązki takiej poezji widział już u Homera, Szekspira, Mickiewicza, ale stłumione, i oto chęcią wydobycia z nich tego ukrytego pierwiastka (mistycznego), przestylizowania ich niejako na ton poezji nowej — wyjaśnia Kleiner świetnie rzecz na pozór tak dziwną, że właśnie teraz przekłada Słowacki „Iljadę", czy „Makbeta" oraz, że próbuje pisać nowego „Wallenroda", nowe „Dziady" lub kontynuować „Pana Tadeusza".

Rozdział ostatni, dziewiąty, poświęcony jest w całości „Królowi Duchowi", który miał być właśnie dziełem tej nowej poezji. Prof. Kleiner widzi w nim słusznie syntezę tendencji poety nietylko z obu faz drugiego okresu, ale i z obu okresów epoki towianizmu. Wszak autobiografja metampsychiczna skrzyżowała się tu z planem cyklicznego poematu o Polsce i utworu filozoficznego o duchu, stwórcy widzialności. Pomijam tu wiele poglądów, znanych już z dawniejszych prac Kleinera o „Królu Duchu". Nowem i tak interesującem jest stwierdzenie, że jeżeli ducha swojego wywodził Słowacki z Grecji (ściślej — ze zhelenizowanej Armenji, ze względu na ormjańskie może pochodzenie rodziny), to ojczyzny ducha Mickiewicza szukał — w Judei. — Objaśnienie dwóch wizyj, które skłoniły Hera do nowego wcielenia, jest inne, niż u Pawlikowskiego: według Kleinera wizja pierwsza — to Umiłowana, która ma wieść „Króla Ducha" do celu, druga, — to ów cel sam, pani Polski idealnej, Matka Boska, kres ewolucji, do której zdąża Polska. — W rapsodzie drugim zachwyca się Kleiner przedewszystkiem świetnym obrazem piekła niematerjalnego, mąk ducha bezcielesnego, obrazem w którym Słowacki skutecznie rywalizuje z Dantem, uzupełniając jego wyobrażenia średniowieczne — nowożytnemi; rapsod trzeci objaśniony bardzo oryginalnie i głęboko, jako pamflet na towiańczyków; w rozbiorze rapsodu tego najcenniejszego jest wyjaśnienie snów rewelacyjnych. Po określeniu rapsodu piątego jako romansu, powrotu do spraw ziemskich, ludzkich — rozpatruje autor różne hipotezy co do daszych wcieleń Króla Ducha i daje ocenę ogólną, wykazującą obok wielkości poematu — także słabsze jego strony.

Już z tego pobieżnego przeglądu treści dzieła nabrać można wyobrażenia, jak obok rozbiorów szczegółowych — bogate jest w uwagi ogólniejsze, syntetyczne — i to zarówno o twórczości poety, o jego artyźmie, jak i o człowieku, jego charakterze, jego rozwoju. Więc też w zakończeniu książki nie odczuwamy potrzeby obszerniejszej syntezy — wystarcza kilka zdań o jednolitem piętnie całej twórczości Słowackiego, o istotnych cechach artysty i człowieka. Zamyka tom i dzieło całe opowieść prosta a wzruszająca o ostatnich chwilach i o śmierci, wysnuta z listów i z relacji Felińskiego. Bardzo dokładny przegląd treści i bogate indeksy ułatwiają znacznie orjentację w całości; liczne, wytwórnie dobrane ilustracje, dobór pięknych czcionek, troskliwa korekta oraz doskonały papier składają się na piękną szatę typograficzną, godnie dostrojoną do wewnętrznej wartości dzieła.

Na wartość tę składa się przedewszystkiem zrekonstruowanie, ustalenie tekstów tylu utworów, dotąd zupełnie mylnie drukowanych i oczywiście tem samem źle, albo wcale nierozumianych [4]). A jednak gdyby czytelnik, uderzony ogromem włożonej w tym kierunku pracy; tak świetnemi jej rezultatami, uważał, że karty poświęcone tym problemom są w dziele najważniejsze, nie byłby wobec niego sprawiedliwym; równie ważne są te, które zawierają ocenę owych tekstów, wszechstronne wyjaśnienie i oświetlenie wszystkich łączących się z niemi zagadnień oraz świetną analizę estetyczną.

„Jest się czemu podziwić i z czego się ukochać" — powiedziałby stary Januszewski; my zaś powtórzymy na zakończenie jeszcze raz to, od czego zaczęliśmy, że nauka polska złożyła w uroczystej chwili dzisiejszej godny hołd Słowackiemu.

---

[1]) Juljusz Kleiner — Juljusz Słowacki. Dzieje twórczości. Tom czwarty: Poeta Mistyk. Część pierwsza 400 stron. Część druga 580 stron.

[2]) Ze stanowiska takiego wynika, że w tomie tym życiorysu jest stosunkowo więcej, niż w poprzednich, gdyż dla zrozumienia twórczości tego okresu niezbędnem było szersze uwzględnienie stosunków Słowackiego do Towiańskiego, do koła towiańczyków itp. oraz dokładne przedstawienie jego działalności politycznej w latach ostatnich.

[3]) Kraków słyszał na ten ostatni temat świeżo trzy wykłady przez radjo prof. Szyszkowskiego, będące rozwinięciem jego rozprawy z r. 1920.

[4]) To co Kleiner dał z tego zakresu w monografji pozwala już ocenić, czem będzie opracowane przez niego zupełne wydanie pism Słowackiego (dotychczas pojawiło się pięć tomów). — Dodać jeszcze należy, że w tomie czwartym mówi Kleiner o wielu wierszach dotąd zupełnie nieznanych, wydobytych przezeń z autografów Ossolineum.

Dług nasz wobec J. Słowackiego

Niema niczego straszniejszego nad szablon pojęć o wielkich ludziach. Niema niczego bardziej bezdusznego nad oficjalny obraz wielkiej osobowości. To też ażeby i z twórczości Słowackiego zacząć coś nie coś rozumieć, trzeba wymazać ze świadomości i zniszczyć jakimś aktem wewnętrznej rewolty wszystko niemal, co mówią oficjalne „historje literatury". Gdyby pośród piszących o Słowackim znalazł się jeden taki szczęśliwiec, któryby ongiś nie przeszedł i obecnie jeszcze nie przechodził tej operacji zapoznawania się z poezją przez oficjalne szkła, ten mógłby niewątpliwie, o ile miałby po temu intellektualne warunki, ukazać nam oślepiający ogrom nowych wartości. Być może, że najszczęśliwsi w dniu sprowadzenia zwłok Wieszcza będą ci maluczcy, którzy poraz pierwszy usłyszą jego słowa. Dlatego nie macie prawa wtłaczać w głowy tych ludzi, którzy poraz pierwszy może posłyszą utwory Słowackiego, szablonu waszych pojęć, waszych ocen — fabrykanci mumij!

Kto jest powołany do oceniania?

Instynkt mas albo współgenjalny twórca. Nikt nie przewyższył tego, co o Matejce powiedział Wyspiański w „Kazimierzu Wielkim", nikt nie dał takiej syntezy Szopena, jak Norwid w „Fortepjanie", nikt tak nie zdefinjował „Pana Tadeusza", jak Słowacki, nikt Słowackiego tak nie zgłębił, jak Norwid w swej o nim książeczce. Wszelkie inne oceny mają bardzo względną wartość.

Jak z jednej strony nadmiar niepowołanych krytycznych ocen, tak z drugiej wogóle brak nam wielkich syntez. Żaden z naszych wielkich poetów epoki romantycznej nie doczekał się tego, by jego osobowość przedstawiono nam w sposób wystarczający. Mamy dobre prace o ich życiu zewnętrznem, ale nic lub bardzo mało wiemy o ich osobistości duchowej. Wmawiano w nas przecież tyle razy „upadek" Mickiewicza w okresie towianizmu, jego milczenie jako artysty przedstawiano jako „wyczerpanie się" twórczego rozmachu. Małeccy i Biegeleisenowie tyle razy obcinali Słowackiego o głowę. Dotąd nie docenia się ostatniego dziewięciolecia jego żywota. Ileż razy zewnętrznemi pięknościami „W Szwajcarji" zasłaniało się wewnętrzne piękno jego ostatniego apostolstwa. A przecież kto wie, czy od czasu „Objawienia" Św. Jana istniało coś większego w tym rodzaju od „Genesis Ducha". Dopóki nie dorośniemy i nie dojrzejemy wewnętrznie do Genezy i do Słowackiego, wprowadzenie Go na Wawel będzie jedynie uroczystą pustką serc. Jedyny Wincenty Lutosławski wykonał dotąd akt pietyzmu i pokory wobec wielkiego dzieła, wydając „Genezis" z miłością i znawstwem.

Tę wiarę w nieodkryte i niezbadane regjony twórczości i ducha naszych wielkich twórców musi podjąć młodzież. Naprzekór wszystkim sądom i autorytetom musi uratować tę wiarę i ponieść ją z sobą w życie. Młodzież odkłada niekiedy do łamusa historji dzieła romantyków, ponieważ przedtem oficjalne nauczanie ukazało jej ich mumje spreparowane i zniekształcone, zamiast kształtów żywych i wolnych. Zaduszono poduszkami chwalby wielkie żywoty!

Nic dziwnego, że młodzież, co gorętsza woła: „Niechaj umarli swych umarłych grzebią!

—Do niej mówię:

Nie umarli to i nie proch i nie upiory, wysysające rumieniec z żywych! To rozmach Polski budzącej się do życia, to rewolucyjny dech, to pęd i przemiana, to przyspieszenie **olbrzymiej, radosnej przemiany** o którą walczy Falanga Idących.

Dr. W. S.

---

* * *

Wielcyśmy byli i śmieszniśmy byli,
Bośmy się duchem Bożym tak popili,
Że nam pogórza, ojczyste grobowce,
Przy dźwięku fletni skakały jak owce,
A górom onym skaczącym na głowie
Stali olbrzymy — miecza aniołowie.

Ustały dla nas bić godzin zegary,
Duch nie miał czasu, a czas nie miał miary;
Szedł błyskawicą do wieczności progu
Duch — a stał wieczność — kiedy stanął w Bogu.
Zaprawdę powiem, bracia moi mili,
Żeśmy się duchem przeświętym popili.

Teraz jesteśmy z ducha wytrzeźwieni,
Bracia rozumni — czciciele pieczeni...
W głowach się nie ćmi, jak pierwej, słonecznie,
Fletnie nie grają, mogiły śpią wiecznie,
Czas nasz zgodzony z ziemi zegarami —
Stoim i śpimy... a świat śpi pod nami.

J. Słowacki.

MARJAN SEWI.

* * *

Witać Prochy Twoje w wolnej Ojczyźnie rozpamiętywań długich różańcem, podróżą daleką w dawność smutnych uciemiężonych lat, jakże obojętnych dla Serca Twojego, smutkiem ich smutnemu?

Może raczej nie szafować słowami, które jakiekolwiek — poświęcone Tobie — zamieniać by się musiały ustawicznie, jedynie w dumną prawdę — stwierdzenie, że nie sprzeniewierzyłeś się nigdy Twej prawdzie, Twej krzyżowej drodze.

Może wystarczy, kiedy spiżowo rozhuczy się Zygmunt, a poprzez tłumem zalane ulice popłynie, zakołysze się wysoko Twoja dostojna Trumna, może wystarczy cicho pochylić głowę, modlitwą pokorną błyszczące mieć oczy.

Może naprawdę ta jedna chwila żarliwej zadumy, starczy za rozpamiętywania długie, pyszne szeregi słów, może najwyraźniej wszystko powie o Twojej wielkości, która tak bardzo przyczynia się do wielkości Ojczyzny.

Wśród nowszych prac o Słowackim.

W roku 1909, w setną rocznicę urodzin poety, zajmowano się Słowackim bardzo wydatnie. Było to apogeum jego chwały, wzniesionej na równy Mickiewiczowi szczyt przez ówczesną Młodą Polskę. Za ruchem, wszczętym w zaraniu XX-go wieku przez Stanisława Przybyszewskiego na łamach „Życia“ krakowskiego, podążyły liczne rzesze różnej miary komentatorów. Charakterystycznym objawem tej popularności Słowackiego były olbrzymie trzy księgi prac nauczycieli galicyjskich szkół średnich. Wśród zgórą 40-tu zebranych tam studjów i przyczynków znalazła się jedna perła: rozprawa Józefa Ujejskiego o „Kordjanie“, jedno ładne i oryginalne ujęcie „Młodości Słowackiego“ przez Tadeusza Piniego, jedna wreszcie udatna, choć niezbyt apologetyczna próba syntezy Michała Janika, świeżo przypomniana przez Krakowską Spółkę Wydawniczą.

„Cieniom Juljusza Słowackiego, rycerza napowietrznej walki, która się o narodowość naszą toczy“ poświęcili wówczas oddzielny tom uczniowie Wszechnicy Lwowskiej. Przeważyły w nim próby młodzieńcze, ale były wśród nich prace Juljusza Kleinera, Manfreda Kridla, Stanisława Wasylewskiego, Tadeusza Dąbrowskiego. — W tomie „Pamiętnika Literackiego“ za rok 1909, poświęconym w całości Słowackiemu, zebrano rozprawy Wincentego Lutosławskiego, J. G. Pawlikowskiego, St. Schneidra, J. Kleinera, T. Grabowskiego, T. Dąbrowskiego oraz kilkadziesiąt drobniejszych uwag i sprawozdań. Z innych wydawnictw zbiorowych warto przypomnieć tom V „Eleusis“ z artykułami W. Lutosławskiego, St. J. Witkowskiego, St. Pigonia.

Z datą roku 1910 wydał Juljusz Kleiner „Studja o Słowackim“. Była to zapowiedź wielkiej monografji poety, której tom I ukazał się w roku 1919, ostatni zaś tom IV opuścił prasę w najbliższych dniach. Po pierwszej rewelacyjnej monografji Ant. Małeckiego, po obszernej anegdotycznej biografji Ferd. Hoesicka, po bardzo cennej, ale pod urokiem Mickiewicza niesprawiedliwej dla jego współzawodnika pracy J. Tretiaka, po jednej z najlepszych do dzisiejszego dnia i najszersze otwierającej horyzonty książce Ign. Matuszewskiego o „Słowackim i nowej sztuce“, — dzieło Kleinera jest pierwszą naukową monografją o poecie. W pobieżnym przeglądzie kommemoratywnym niema miejsca na wyliczanie ogromu nowych poglądów i faktów, jakie ona przynosi. Ta masa szczegółów staje się niekiedy wadą, gdyż zaciera linje syntetyczne, mimo że autor, obdarzony niezwykłym talentem pisarskim, jest mistrzem polskiej krytyki literackiej. Jego rozległa wiedza, gruntowne przygotowanie filozoficzne, pogłębione samodzielnemi studjami nad filozofją europejską w dobie romantyzmu, oraz opanowanie najnowszych metod krytycznych, podtrzymywane przez żywy i stały kontakt z nauką zachodnio-europejską, wyróżniają go znakomicie wśród współczesnych polskich badaczy literackich, stawiając go narówni z najtęższemi piórami krytycznemi w Polsce i w Europie. Słowacki jest zajęć jego przedmiotem głównym. Kleiner dał pierwsze krytyczne wydanie całkowite „Beniowskiego“, [1]) od roku zaś 1924 redaguje 16-tomowe krytyczne wydanie „Dzieł wszystkich“ Słowackiego, których ukazało się dotychczas 5 tomów, zaopatrzonych w obszerne wstępy J. Kleinera i J. Ujejskiego oraz w wyczerpującą bibljografję, opracowaną przez W. Hahna.

Dzieło Kleinera ma charakter wybitnie naukowy i stąd nie dla wszystkich jest jednakowo dostępne. Do szerszych kół czytelników trafić może oryginalnie ujęta, i dobrze napisana dwutomowa monografja Tadeusza Grabowskiego, wydana w ostatnich latach po raz drugi w zupełnie nowem opracowaniu. Jest to może najlepsze dzieło niestrudzonego badacza polskiej literatury różnowiecznej i historji krytyki literackiej w Polsce. Mimo zaznaczoną już „popularność“, polegającą przedewszystkiem na tem, że łatwo się je czyta, przynosi ono wiele cennych uwag i poglądów, których i badacz naukowy nie może pominąć.

Główną pozycją literatury o Słowackim w jubileuszowym roku 1909 było kilkusetstronicowe studjum Jana Gwalberta Pawlikowskiego o „Mistyce Słowackiego“. Przedmiot ten został tu poraz pierwszy naukowo i wyczerpująco opracowany i dopiero Kleiner zdołał do niego dorzucić nowe szczegóły. Były to prolegomena do studjów nad „Królem—Duchem“, którego pierwsze krytyczne wydanie całkowite z obszernym komentarzem dał J. G. Pawlikowski w roku 1925. Ten sam badacz pracuje nad wydaniem „Pism mistycznych“ Słowackiego, z których posiadamy dotychczas wzorowe wydanie W. Lutosławskiego „Genezis z ducha“ z roku 1903. W wieku XIX „Król-Duch“ uchodził za dzieło niemal obłąkanego umysłu. Wyjątkowemi były studja Asnyka o „Królu-Duchu“ (1879) i Sienkiewicza o „Genezis z ducha“ (1873), pozatem przeważał typowy dla ówczesnych czasów sąd St. Tarnowskiego. Dopiero Przybyszewski wysunął „Króla-Ducha“ na szczytowe miejsce w twórczości Słowackiego, na którem pozostał do dziś dnia. Jest walną i nazawsze niezapomnianą zasługą J. G. Pawlikowskiego, że badaniami swojemi dał podstawę do krytycznej oceny utworu, wydaniem zaś tekstu uczynił sam poemat nareszcie w całości dostępnym.

Zagadnieniem „Antagonizmu wieszczów“ zajął się Manfred Kridl w wydanej w roku 1925 obszernej książce, gdzie temat umiał oświetlić w sposób objektywny i przekonywujący. Można mieć jedynie zastrzeżenie co do końcowego rozdziału, przeprowadzającego porównanie „Króla-Ducha“ z „Panem Tadeuszem“, gdyż są to poematy zupełnie niewspółmierne. Odpowiednikiem „Króla Ducha“ w twórczości Mickiewicza były: „Literatura słowiańska“, Legjon włoski i zakończona śmiercią wieszcza wyprawa turecka, w twórczości poetyckiej odpowiednika takiego nie dał a w żadnym razie nie może nim być „Pan Tadeusz“, do porównania z nim nadaje się raczej „Beniowski“. Kridl poświęcił Słowackiemu więcej swoich prac, z których dotychczas pozycją najważniejszą jest wydanie w roku 1915 III tomu Listów poety, będącego uzupełnieniem ogłoszonych przez Leopolda Meyeta w roku 1899 dwuch tomów Listów do matki.

Tadeusza Sinki „Hellenizm Słowackiego“, wydany poraz pierwszy w roku 1919 i w nowem rozszerzonem opracowaniu w r. 1925, należy do podstawowych studjów o poecie. Innego opracowania tego tematu, oprócz luźnych przyczynków Adolfa Bednarowskiego i Stanisława Schneidera, dotychczas niema. Stąd też podniesione niedawno także przeciwko temu dziełu zarzuty nie mogą osłabić jego znaczenia, zwłaszcza że w sprawie związków literatury polskiej z antykiem nie posiada Sinko równego mu znawcy.

Inne wpływy literackie najobszerniej uwzględnił St. Windakiewicz w „Badaniach źródłowych nad twórczością Słowackiego“ (1909). Na temat ten istnieje największa ilościowo obfitość studjów i przyczynków. Wykazano w nich tyle ciekawych nieraz podobieństw i pokrewieństw z tak długim szeregiem dzieł w różnych językach, że całego życia poety nie starczyłoby na pobieżne ich przeczytanie. Rzekoma „bluszczowość“ Słowackiego stała się niejednokrotnie nadużywanym żerem zwłaszcza prac seminaryjnych, mających znaczenie dla wyrobienia słuchaczy, ale nieraz niepotrzebnie publikowanych. Znana polemika literacka o tak nazwaną przez Boya-Żeleńskiego „wpływologję“ jest w świeżej pamięci, właściwe zaś jej znaczenie dla nauki o literaturze najtrafniej określił w doskonałych, jak zawsze, swych studjach Wacław Borowy.

Inny charakter mają badania nad związkami pism Słowackiego z prądami zwłaszcza późniejszemi. Nie potrzebuję podkreślać, że najlepszą dotąd pracą o tym przedmiocie jest wspomniane już kapitalne dzieło Ign. Matuszewskiego. Po nim Stefanja Tatarówna zajmowała się Słowackim a Nietzschem. Winc. Lutosławski — Słowackim a Darwinem, Bogdan Szyszkowski — Słowackim a Bergsonem. Ciekawy, choć niewyczerpujący obraz wpływu poety na literaturę polską dał Ferdynand Hoesick w pracy p. t.: „Siła fatalna poezji Słowackiego“ (1921). Na innem miejscu miałem już sposobność dorywczo nadmieniać, że wpływ Słowackiego na twórczość i ideologję Wyspiańskiego wymaga gruntownego opracowania. Ciekawem byłoby również wskazanie żywotnego oddziaływania Słowackiego na twórczość najmłodszych naszych poetów. Polemika o poetę, wywołana artykułem Ant. Słonimskiego w „Wiadomościach Literackich“, była najdobitniejszym dowodem, że — mimo renesansu Mickiewicza — Słowacki nadal pozostał równym mu wodzem duchowym pokolenia. Na marginesie tej polemiki nie od rzeczy będzie zaznaczyć, że brak jest dotychczas wyczerpującj oceny wartości dramatu Słowackiego. [2])

Wśród krótszych ogólnych charakterystyk Słowackiego z ostatnich lat dwudziestu do najlepszych zaliczyć wypadnie studjum Bronisława Chlebowskiego w tomie IV „Wieku XIX“ i Józefa Kallenbacha w „Encyklopedji Polskiej“ Akademji Umiejętności, do najciekawszych głęboko pomyślane zestawienie Słowackiego z Mickiewiczem w „Filozofji romantyzmu polskiego“ Stanisława Brzozowskiego. [3]) Rosyjska książka K. Balmonta o Słowackim (Moskwa 1909) jest ciekawym, choć wyjątkowym, przykładem zagranicznej chwały poety. Wśród studjów obcych wymienić należy ciekawą pracę włoską Giovanni Maver'a p. t.: „Saggi critici su Juliusz Słowacki“ ,Padova 1925).

„Kobietą i miłością w życiu Juljusza Słowackiego“ zajmował się w krótkiem studjum Jan Pietrzycki (1909), „Kobietą i kobiecością w poezji J. Słowackiego“ — Zygmunt L. Zaleski (1910), „O roli uczucia w życiu duchowem J. Słowackiego“ pisał Wład. Jabłonowski (1916).

Obszerne studjum o „Ewolucji obrazów Słowackiego“ dała Stefanja Skwarczyńska (1925). „Mistrzostwo formy „Słowackiego“ omawiał Marek Piekarski (1909), „Badania stylometryczne nad językiem Słowackiego“ — Władysław Ćwik (1909). O „Muzyce wiersza Słowackiego“ pięknie pisał Józef Weyssenhoff („Mój pamiętnik literacki“).

„Główne idee w Anhellim Słowackiego“ Józefa Ujejskiego (1916) są bodaj najlepszą pracą oddzielną o poemacie sybirskim. Ciekawe jest też studjum Stefana Vrtela-Wierczyńskiego o „Rycerzu-Ludzie Słowackiego“ (1916).

„Piękno i ból w Ojcu zadżumionych i w innych poematach bólu rodzicielskiego“ opracował Bogdan Nawroczyński (1916).

„Uwagi psychologiczne o genezie poematu „W Szwajcarji“ ogłosił Stefan Baley (1921), studjum o „Miłości dantejskiej w poemacie „W Szwajcarji“ — Stanisław Łempicki (1925), ładny rozbiór ogólny poematu —Włodzimierz Fiszer (1923).

„Sen srebrny Salomei“ był przedmiotem dłuższych rozpraw St. Turowskiego (1910), Wł. Bukowińskiego (1910), J. Lorentowicza (1910), J. Maurera (1911), i w roku ubiegłym wspomnianej już polemiki.

Ciekawe studja o ostatnim okresie twórczości Słowackiego dał przedwcześnie zgasły Tadeusz Dąbrowski, byłoby warto zebrać je w książkę.

W paru latach ubiegłych kilka ładnych rozbiorów „Godziny myśli“, „Lilli Wenedy“, „Grobu Agamemnona“, „Testamentu mego“ — drukował w czasopismach Ign. Chrzanowski. Można się spodziewać, że ze studjów tych powstanie zczasem nowa monografja poety.

W przeglądzie naszym z konieczności musieliśmy ograniczyć się do rzeczy najważniejszych. Pominęliśmy wiele studjów krytycznych oraz wrażeń literackich, wśród których zwłaszcza głosy wybitnych poetów i powieściopisarzy stanowią niezawodną rękojmię wiecznej chwały Słowackiego.

Kazimierz Czachowski.

---

[1]) Ukazało się w „Bibljotece Narodowej“, gdzie znalazło się dotychczas 12 tomików Słowackiego, opracowanych przez J. Ujejskiego, J. Kleinera, M. Janika, St. Turowskiego, W. Hahna, M. Kridla, J. Maurera, Br. Gubrynowicza, St. Kołaczkowskiego. Tomiki te świetnie prowadzonego wydawnictwa mają być omówione oddzielnie. W zbliżonej, choć pod względem komentarzy mniej wyczerpującej, bibljotece „Pisarze Polscy i Obcy“ wydano 3 tomiki Słowackiego, opracowane przez J. Kleinera i M. Kridla.

[2]) Rozprawę Wł. Kłyszewskiego znam tylko z tytułu.

[3]) Por. „Gazetę Literacką“ nr. 29.

JERZY RONARD BUJAŃSKI

Pacierz Wieczorny.

Juljuszowi Słowackiemu, jako autorowi „Genezis z Ducha“.

Zbrukane oczy obmyj snu rosą strzelistą
pragnący jestem ojcze — czekam Twojego listu —

w widzeń Twych syczące ogniem węże
zakuj mię, a w Objawienie uwierzę —

Połam me słowa dawne, zimne i puste
wołam: ogień daj moim ustom!

zbudź mię i przeszyj oczy czerwoną chmur deszą
a ja powstanę z martwych, obwieszczę Ciebie rzeszom —

niech oko Twoje spojrzy na mnie mrącego wśród mroków
daj mi być cichym pośród najcichszych proroków —

niech będę z tych, w których się bóstwo mieści
i przyjścia swego czyściec wyczekującym wieści —

niech nieme dotąd usta szemrzące psalmy kołyszą
a ręce baltazarowe sądy piszą —

zwól mi dar Twoich widzeń hosanna śpiewać
kiedy już wrośniesz na amen w moje cielesne drzewo —

błogosławione niech będą dokwitające owoce
i te z Tobą spędzone pokutne a smutne noce —

wyczuwam święto świętych zamknięte w serca celi
i radość ma i smutek Tobą się ewangeli —

przez mą samotność godzien, która jest równa Twojej
abyś mię karmił ciałem i winem krwi swej poił —

z twarzy mej uczyń karzący bólem pręgierz
na wargach połóż rozżagwiony węgiel —

Wiutuj mię w nocy krzyczącą i srebrną ciszę
krzyżowany gwiazd oczyma między gwiazdami niech wiszę —

karz mi się korzyć czterdzieści dni wielkiego postu
aże umęczon stanę się cichy i prosty —

nawiedź mię wtedy, którego czekam korny
złóż me powieki na wieki — w pacierz wieczorny.

* * *

Zbliża się straszliwa chwila, że ten świat ma być rozjaśniony słońcem wiedzy... kto nie wytrzyma blasku — temu czaszka błyskawicami rozerwana rozleci się na kawałki — i będzie na łańcuchu w domu warjatów... **J. Słowacki.**

* * *

W ostatecznem rozkochajmy się zwycięstwie i rozmiłujmy się w rozsłonecznieniu ziemi, i przeciwko niedoskonałości ciał zapalmy się gniewem ducha, i pod nogami miejmy bunt wszelki krwi naszej. Taka jest piękność nieśmiertelnych.

J. Słowacki.

T. Kudliński.

Duch młodzieńczy.

Przyszła chwila, że pisać mamy o Nim. Ziściły się Jego młodzieńcze marzenia o sławie choćby za grobem. Ziściła się umocniona za życia pewność zwycięstwa — w Czasie. Dzień sprowadzenia do kraju małej garstki popiołów, będącej tylko symbolem Jego wielkiej postaci staje się zdarzeniem wielkiem, manifestacją całego narodu, manifestacją pokoleń rozdzielonych czasem od Niego. Pierwszy to zbiorowy akt publicznej sprawiedliwości, zreasumowanie wszystkich dotychczasowych sądów i walk, renesans zbiorowego kultu dla największego naszego poety.

Wita Cię polskie morze — duma nasza —
Latarnia morska na piaszczystym Helu —
Wisły rozlewisko wielkie —
Stolica w godowej szacie —
Kraj cały w letniej przyodziewie —
W zieleni — zbożach — słońcu —
Wita Cię sędziwy Kraków w dostojnej patynie,
Witamy my młodzi — gorącością serc naszych
Wielki Pielgrzymie i Wygnańcze.

Mógłby zapytać ktoś — co nas młodych tworzących fermentującą burzliwie współczesność (jakże odległą od Jego epoki) — uprawniać może do zajęcia miejsca w rzeszach manifestujących na Jego cześć. Jak znaleźliśmy się wśród tych, co czci pełni, składają hołd czołobitny, przed wyniesioną na piedestał wawelskiej siedziby — Jego trumną.

Otóż czynimy to z radosną świadomością.

Mimo, że nie zowiemy Go ojcem naszej epoki, jak czyniła to epoka miniona i mimo że nie będziemy się rozwodzić nad czynnikami Jego twórczości, które tworzą oficjalną dziś podstawę Jego sławy. Mimoto, możemy z tłumami zgodnie sławić Go dzisiaj.

Albowiem czcimy w nim młodość! Czcimy myśl młodzieńczą co śmiało wybiegła w przyszłość. Czcimy ducha, co nie znając utartych kolejin i wytkniętych szlaków, z rewolucyjną śmiałością błysnął ogniem daleko poza epokę współczesną, co wyznaczył przyszłym czasom z genjalną pewnością nowe drogi rozwoju. —

Jest przecie rzeczą ogólnie znaną i przez nasze powagi krytyczne uzasadnioną, że uprzedził On nieomylnie wszystkie prawie formy rozwojowe późniejszej poezji, że z przenikliwą jasnością i pewnością wieszcza kreślił linje ewolucji sztuki, że wyprzedzał śmiało lata i dziesiątki lat.

Zrozumiałą jest rzeczą, że dla współczesnych stał się z tego powodu obcym, a twórczość Jego chaotyczna i niejasna. Że twórczość ta nieuchwytna i płynna stała się powodem zupełnego prawie osamotnienia poety. Romantyzm był już śmiałem poczynaniem wobec panujących gustów i prądów — jednak Mickiewicz zdobył uznanie jeszcze za życia. On nie doczekał uznania. Bo nawet Krasiński, jeden z nielicznych Jego przyjaciół — stosuje dość ostre słowa krytyki z okazji — Króla Ducha. Poemat miał być, „bez treści“ i „bez myśli“, a Jego nazwano bez ogródek warjatem.

Jakże więc dziwić się bezmiernemu bezwładowi smutku, zgorzkniałego poety — co tworzył bez echa, jakże żądać by tworzył rzeczy mocne, granitowe, gdy wieszcze słowa Jego padały w rozpaczliwie głuchą i milczącą otchłań niechęci. I tu podziwiać nam trzeba przy całym pesymiźmie poety, jego młodzieńczą wiarę w przyszłość i tę niezłomną ufność, że ta przyszłość Jego — i Jego będzie za grobem zwycięstwo. Wiemy jak marnieją talenty w podobnie nieprzychylnych warunkach. On jednak z hartem Księcia Niezłomnego: **wierzy.**

Nie mogę nie zacytować tu znanego dobrze ustępu:

Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna
Co mnie żywemu na nic... — tylko czoło zdobi
Lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna
Aż was zjadaczy chleba...

To jest ta poezja, którą On sam za **czyn** uważał. Jakże dalej dziwić się chorobliwej w młodości żądzy sławy, choćby po śmierci. Bo, czemże jest artysta bez rezonansu słuchaczy.

Ten młodym poczynaniom właściwy brak powszechnego uznania, oraz silna wiara w swoje cele i zamierzenia — wkońcu to uprzedzanie normalnych form ewolucji, czyni Go nam młodym i bliskim.

W pół wieku po Jego śmierci, modernişci powodują szersze zainteresowanie się Jego twórczością — i stosunek do dzieł poety po zabijającej obojętności ulega szybkiej i gruntownej rewizji, prowadzącej do krańcowego zachwytu. Ówcześnie młody ten kierunek uznaje Go za proroka swych zamierzeń i celów, przyznaje wyraźnie Jego potężną moc zapłodniającą. Jakże wielki to trjumf!

Od roli zapoznanego, nierozumianego poety przejść na stanowisko wodza zbiorowego wyrazu artystycznych dążności epoki, po półwiekowej przerwie! Jakaż ewolucja poglądów. Król Duch, źródło najbardziej natarczywych ataków współczesnych, staje się gigantycznem arcydziełem podniesionem do godności narodowej biblji poetyckiej.

Nazwiska pierwszych Jego wielbicieli, Asnyka, Norwida, Przybyszewskiego, Żuławskiego, wskazują również jak wielkim był wpływ Jego na umysły śmiałe, nowatorskie o tyle właśnie z Nim wspólność mające.

Śmiesznem byłoby dziś wyszukiwać punkty styczne, między sztuką Jego a sztuką dzisiejszą. Żyjemy w czasach ogólnego przewartościowywania, polegającego często na burzeniu ślepem, na pomniejszaniu ogólnie uznanych wartości, często chimerycznem i nieuzasadnionem. Nie szczędzono i Jego. Lecz nie tu miejsce na polemikę. Stwierdzam tylko ponownie: z radosną świadomością czujemy, jak bliską jest nam Jego twórczość, przez żywą młodzieńczość myśli, z dumnym uporem walczącej ze skostnieniem epoki.

To jest objektywna strona naszego ustosunkowania się do Jego twórczości.

Pozostaje stosunek uczuciowy do Jego dzieł.

Zbytecznem jest chyba przypominanie zasług tego wielkiego Czarodzieja słowa, co kształcił piękno mowy naszej z bezprzykładną doskonałością. Zbytecznem chyba — mówić o olśniewającej obrazowości, o cudownej harmonijności i słodkiej rytmice wiersza, z której On sam tak był dumny, że z całem przeświadczeniem pasował się na ojca mowy ojczystej.

Są to dziedziny dziś już przetrawione i dostatecznie uwypuklone. Chodzi mi więcej o to nawskróś poetyckie ujęcie, o tę fenomenalną zdolność budzenia wzruszeń, władczą zdolność wytwarzania atmosfery spotęgowanego odczuwania. Tę niepojętą łatwość wprawiania słuchaczy w ekstatyczny stan reakcji uczuciowej. Słowem nieodporną sygestję artystyczną.

Jeżeli o tem właśnie mówię, to chcę ponownie zaznaczyć, że jest on władcą niepodzielnym dusz młodych, rozpalających się łatwo pod wpływem Jego poezji i tę zdolność nazywam **młodzieńczą,** bo młodość tylko umie przekonać i zapalić przemawiając do serca. Mogę o sobie powiedzieć (a sądzę, że będę jednym z wielu), że dzieckiem jeszcze pierwsze artystyczne wzruszenia przeżywałem w Jego dramatach. Nie pamiętam silniejszych wzruszeń od tych. Teatr Jego był czemś cudownem, nie dającym się opisać zachwytem, poruszeniem uczuciowem tak silnem, że dziś jeszcze poddaję się temu urokowi.

Kordjan — Balladyna — Mazepa — Lila Weneda i cały tłum tych wrażonych w pamięć postaci — na scenie czy w czytaniu — były to zdarzenia niecodzienne i przyciągające powtórnie z uporem, każące nieodparcie powracać do siebie. Można było nierozumieć ideji przewodniej, a siedziało się rozdygotanym, oczarowanym i śniło się później po nocach. Kalejdoskop wrażeń z Kordjana był tak żywy i natarczywie obecny, że nie wystarczył teatr czy czytanie, ale trzeba było jeszcze dać wyraz zachwytowi przez szkolne, studenckie przedstawienia. Słynne i osławione wieczory trzech wieszczów. Pożal się Boże jak to wyglądało. Wiem tylko, że On był zawsze na pierwszem miejscu naszych programów, i że dawaliśmy ze siebie wszystko, co najlepsze i najpiękniejsze — wszystko co tylko mogliśmy wydobyć, aby zaznaczyć nasze bezgranicznie szczere uwielbienie i podziw dla Niego. Dla tego niepojętego mistrza i czarodzieja, który targał naszemi wyobraźniami nicował nasze dusze.

Do dziś przechowuję z pietyzmem „teatralny“ egzemplarz Kordjana z tych przedstawień, z zaznaczeniem ról, jakie koledzy moi piastowali. Pamiętam wszystkie kłopoty, próby, całe ustępy tekstu, gesty aktorów, wszystkie drobne zdarzenia, powiązane w jeden wielki uczuciowy węzeł. Pamiętam drobiazgi, ot np., że najcięższym momentem technicznym była dla naszych skromnych środków scena z widziadłami. Jakżeśmy sobie głowy łamali, aby to doprowadzić do „godnego“ wyglądu. Jakie genjalne pomysły były stosowane! Pamiętam niewdzięczną rolę Prezesa: 16 letni młodzieniec w siwej peruce w ponurych podziemiach Katedry św. Jana z gorzkim monologiem: „Ciemna jaskinio trumien...“ Był to kolega o wyjątkowo ponurym wyglądzie i z takim atutem jak mutujący bas. Szyldwach i spiskowi, peleryny, maski, latarnie i drewniane sztylety. Popis całej klasy. Hasła, pomruki. Winkelrydy.

Całość to jedno z najpiękniejszych wydarzeń. I jeszcze jedno. Wiele zarzutów wytoczono przeciw Niemu, potępiając postać Kordjana niezdolną do czynu, czy rozpaczliwą doktrynę Anhellego.

Jedno wiem. Czując z bohaterem dramatu w czasie rozwijającej się akcji zdawałem sobie sprawę z prawdziwej niemożności dokonania czynu, cierpiałem wraz z nim, w czasie sceny pożegnania z Grzegorzem beczałem jak bóbr i w głębi dziecinnej ufności byłem przekonany po spuszczeniu kurtyny po ostatnim akcie, że adjutant zdążył jednak na czas.

Ale w rezultacie całość bynajmniej nie działała osłabiająco na energję życiową. Przeciwnie. Bohaterskość patosu sprawiała, że czułem w piersi przewalające się moce — czułem się zdolnym do rzeczy mocnych i wielkich — uważałem Kordjana za wyzwanie rzucone ludziom czynu.

Takie było działanie Jego poezji na młodych.

Wychodziliśmy z teatru owiani tchnieniem wielkiej poezji. Wzruszeni do głębi i pełni podziwu dla genjalnego słowa.

Dziś więc, gdy przyszło nam młodym hołd składać Jego wielkości, czynimy to z wdzięcznem sercem za wszystkie wzruszenia młodzieńcze, za wszystko co budziło się w nas piękne i dobre.

Ten ubogi hołd mój niech będzie próbą wyrażenia uczuć nas młodych dla **Ciebie Wiecznie Młodego.**

Czcimy Cię!

Wielki wiecznie młody Arcypoeto!

Podróż orjentalna Słowackiego.

Ile razy czytałem świetne sestyny „Podróży na Wschód“ lub miarowo szumiący trzynastozgłoskowiec „Listów ze Wschodu“, podziwiałem tylko giętkość wiersza i brawurę przenośni i iskrzący potok słowa zaklętego w klamry klasycznych rymów. Dopóki nie odbyłem sam tej podróży po tym samym nieomal szlaku, nie byłem w stanie ocenić i zgłębić całej wartośsi artystycznej tych drugich zwłaszcza.

O podróżach marzyłem zawsze. Najbardziej pociągał mnie Wschód, który jednakże jawił się moim nieświadomym oczom w szablonie kolorowanym warstwami wyobrażeń sy, powieści i poematy. Tej mojej iluzji orjentalnej, tego tęczowego, lecz naiwnego szychu nie przetkała jeszcze rzeczywistość ostremi, konkretnemi ściegami, jawa nie przesyciła snu gęstym sokiem prawdy.

I dopiero gdy wiózł mnie wielki okręt przez topiel Śródziemnego morza, gdy się rozwiło przedemną żółte pasmo piaszczystego lądu, gdym się zanurzył w zawieruchę rozpryśniętych kolorów i w gorączkową, gardłową wrzawę rojnego ludu nad Nilem — wtedy dopiero blade, woskowe oblicze wyobrażeń nabiegło krwią życia.

Tak się jakoś złożyło, że przez długi okres czasu po powrocie do kraju nie przyszło mi na myśl wziąć do ręki 2-go tomu pism Słowackiego, aby porównać to, com widział z jego poetyckim opisem. Aż po paru miesiącach, gdy rozpłynęły się w spokojne kręgi jaskrawe wspomnienia, gdy ochłódł nieco, wrzątek wrażeń, a wiatrak oślepiających obrazów przestał wirować pod czaszką, gdy wreszcie ucichł, jak daleki szum muszli, pogłos arabskiego rojowiska mieszkający w uszach, i pod stopami kołys okrętów ostygł w nieruchomość — otwarłem wspomnianą książkę znowu.

I tu dopiero pojąłem nieśmiertelność genjusza. Każde słowo poety odbudowywało rzeczywistość, każde zdanie otwierało ogromne perspektywy. Suty wiersz „Listów ze Wschodu“ napełniony, nabrzmiały prawdą, odświeżony krwistością farb, przechowanych na dnie oka objawił mi całą swą podskórną zawartość, cały swój czar dotąd nieodgadły, całą swą okazałość.

Pierwszem wrażeniem, jakie mi się teraz narzuciło z nieodpartą siłą był podziw. Podziw dla genjuszu, który po tylu dziesięcioleciach rozwoju języka i rzemiosła poetyckiego (do czego się sam najbardziej chyba przyczynił) czaruje tak niezrównaną umiejętnością wiersza, taką plastyką opisu, taką niedbałą łatwością „techniki“ poetyckiej. Przecież „Listy ze Wschodu“ należą jeszcze do tego okresu twórczości Słowackiego, kiedy talent jego wydobywał się dopiero z mgławicy, gdy się krystalizował niewyraźnie i daleko mu jeszcze było do szczytowego kunsztu i natchnienia ostatnich strof „Beniowskiego“, czy „Króla-Ducha“. A jednak już taka pojemność oddechu, taka wrażliwość spostrzegania, taki zasób słowa i poetyckich narzędzi.

Tylko wielki epik może się zdobyć na tę plastyczność i lapidarność stylu. Tylko wielki epik dociera z taką łatwością do podświadomego śpichrza wyobrażeń, aby czarnoksięską praktyką słowa wskrzeszać nanowo, w całej wyrazistości widziane i zasnute niepamięcią obrazy.

Więc najprzód sam przyjazd:

...I ziemia wyszła na morza błękicie
Jak złocistego piasku dzierzgany obrąbek
. . . . . ,
Nad tym brzegiem, a z twarzą, jak widzę ją co dnia
Leżała niesplamiona purpura przedwschodnia;
Na niej stada gwiazdeczek bladego lazuru —
. . . . . ,
Tak mi się ukazały afrykańskie brzegi,
Smutne . . . . . .

Kto był w Egipcie niech sobie przypomni wjazd do aleksandryjskiego portu o świcie, gdy gwiazdy bledną i zorza się zapala, a pod nią nic tylko żółte, wązkie pasemko lądu, a to mu już wystarczy dla scharakteryzowania mistrzowskiej brawury opisu autora „Anhellego“.

List Słowackiego do matki opisujący pierwsze wrażenie zetknięcia się w Aleksandrji z jaskrawym Orjentem zaginął niestety; niepowetowana to szkoda, że wprost bezpośrednio z ciepłą ręką kreślonych słów poety nie możemy odtwarzać sobie wiernie stanu jego duszy tam na pograniczu dwu odrębnych światów.

Sam zresztą pisze do matki (Livorno, dn. 11 lipca 1837).

„W liście z Aleksandrji pisałem ci, jakiego wrażenia doznałem, widząc się pierwszy raz w orjentalnem mieście i żałuję tego listu, bo już teraz niepodobna byłoby tego opisać, bo przywykłem powoli do Arabów, do wschodnich ubiorów, do ich miast i nakoniec żadna sprzeczność z naszymi obyczajami nie uderzała mnie...

Bezsprzecznie musiał poeta przejść to samo, co każdy Europejczyk stawiający stopę na afrykańskim lądzie, to samo, co i ja przeszedłem — a więc nagle, oszołamiające zanurzenie się w powódź niespodzianek, barw, kształtów, zgiełku i ruchu, w której wprost tchu złapać trudno. Zapewne doznał zawrotu głowy i gorączki podróżnej, gdy w kotle ludzi i zwierząt, otoczonego mnóstwem czarnych i brązowych twarzy, białych zębów i łyskających ślepi, pod ulewą słońca porywano przemocą i sadzano na osiołka...

I oto jego własne słowa: („Do Teofila Januszewskiego“).

...Bo ledwo się oglądniesz zaraz ciebie horda
Cślarzy za złotego zwąchała milorda
I osiołkami drogę zwężoną przegradza —
Chwyta — piastuje — z ziemi podnosi — i sadza..
Na szybkolotnym ośle . . .

Wygodniej i spokojniej już dziś, gdy turysta wprost ze statku wsiąść może do limuzyny i zajechać z szelestem gum do luksusowego hotelu. Z auta ulice miasta wyglądają jak szybko mijany, ruchomy kalejdoskop. Podróżnik na osiołku miał zapewne więcej wrażeń, bo wolniej odbywał drogę, za to uświadomienie ich było trudne, gdy nurkowało się samemu w ten zamęt, w ten wrzask i w tę chaotyczną bieganinę.

Tem godniejsze podziwu wydają się tedy kapitalne chwyty spostrzeżeń poety, który z iście malarskim genjuszem odbijając mijane obrazy, umiał odnaleźć w nich w jednem okamgnieniu to, co najistotniejsze i co najwierniej oddaje rzeczywistość. Tak więc o spotkanych kobietach zamiast rozwodzić się w gadatliwych opisach, powie poprostu:

. . . I znów idzie całunem nakryta
Jakaś trumna, szeroka, czarna, — to kobieta!

Istotnie. Jak najtrafniejsze porównanie. Jadąc do Egiptu, wyobrażamy sobie cudne czarnookie hurysy w kolorowych szatach, w turbanach i zausznicach dźwięczących. I naraz iluzja pęka, jak szkło. Kobiety ubrane czarno i grubo, jak karawaniarze, jak zakonnice, podobne naprawdę chodzącym trumnom.

A oto inny obraz:

Tu pilnująca głową równowagi dzbanka
Wyprężona przy murach, staje Egipcjanka
Podobna karjatydzie w ścianę wmurowanej;

A tu znowu pierwsze spotkanie z wielbłądami, które o ileż konkretniej malują się teraz w zderzeniu z rzeczywistością, niż w wyobraźni młodocianego autora „Szanfarego“, czy „Araba“.

Ledwoś dopadł do bramy: przy bramie jak herby
Żywe wielbłądy okiem przerastając kratę,
Woda w skórzanych workach zamkniętą skrzydlatę
Stają ci się przed progiem domowym zagrodą
Odstraszając sączącą się przez skóry wodą.

Już na lapidarności stylu i na oryginalnej, śmiałej trafności wyrażeń nie brak Słowackiemu w „Listach ze Wschodu“. Na każdym kroku unika on banalności i fałszywej malowniczości właściwej filarom egzotyzmu i poetyckim piewcom Orjentu.

Opisując np. Arabów nie bawi się Słowacki w malownicze i napuszyste określenia, wysuwając na pierwszy plan znowuż najbardziej uderzające cechy, a więc chudość i widmowość ich wyschłych, sępich postaci. Obraz ten powtarza się po kilkakroć czy to w „Liście do Teofila Januszewskiego“

Dalej żebrzące stado postaci bocianów
Goni za tobą, prośbą grzechoczącą klaszcze —
Czarne, wychudłe, w białe obwinięte płaszcze

czy w „Piramidach“ (...Wtenczas wypadli słońcem wyschli Beduiny, brązowi, w białych płaszczach, jak grobowe sępy“). Jakże inni, jakże papierowi, i dekoracyjni są ci Arabowie z młodzieńczych jego poematów, z „Szanfarego“, „Mnicha“, czy „Araba“, Jakże skąpy i ciasny jest cały zakres jego ówczesnych środków poetyckich używanych dla wywołania wizji Wschodu. Efekty są tam sztuczne, jak bengalskie ognie i powtarzają się, zdradzając ubóstwo wyobrażeń.

Są tam więc tylko palmy nad źródłami i meczety („Pomiędzy palmy dwie meczetu wieże“, „Pod palmą między źródła kryształowe“) są oczywiście haremy („w haremach trwożne dziewice zadrżały“, „Cicho w haremie; palmy się kołyszą“), są te pędzące przez „stepy bez końca dzikie i puste, bezbrzeżne dla oka“ konie arabskie i wielbłądy („koń mój z pod kopyt miotał piasek wracy“, „Puścił się wielbłąd na stepów zacisze, Z pod racic ogień wypryska mu gęsty“) są muezziny i róże i sztylety, a przedewszystkiem rozmaite czarnookie dziewice arabskie, zawsze podobne do siebie, w mglistych muślinowych szatach(o które, jak wspomniałem wyżej — na Wschodzie tak trudno). Najlepsze nawet fantasmagoryczne obrazy w „Szanfarym“:

Jak pełna róża, tak w pełni rozwity
Fingari* niebios przebiega błękity

lub

Patrz, jak ogniowej podobne kolumnie
W tysiącznych światłach błyszczą minarety

nie dorównują świetnym fragmentom z „Listu do Aleksandra H.“ gdy poeta np. pisze o Nilu:

„Piękny kiedy błękitem żeni się z palmami
Co stoją wiatrem wahane nad wsiami;
. . . . , piękny dla oka poety
Gdy stojące nad sobą białe minarety
Podwójne i w błękitach pokaże odwrótne;
Gdy ma senne bociany, jak za Polskę smutne.
A jeszcze bardziej oczy i duszę zachwyca
Gdy w nim zapalmowego widzę wschód księżyca“.

Zapewne też nieraz z wyobraźnią nakarmioną już realnym Wschodem, jak garścią soczystych daktylów patrzał Słowacki z pobłażaniem na te młodzieńcze iluzje kołyszące się wątle na kartach wyżej wspomnianych poematów.

Jak głęboko wyżłobił się Egipt w jego wyobraźni, jak kategorycznie domagał się mnóstwem wstrząsających obrazów odtworzenia go w jakiejkolwiekbądź formie, świadczą krajobrazy z nad Nilu i wizerunki świątyń starożytnych, których tyle naszkicował Słowacki w czasie podróży. Na co zamało było słów, to utrwalał ołówek, czego brakło rysunkom, to wiersz nadrabiał.

Ciekawem byłoby zbadać o ile całokształt prastarej krainy uległ zmianom od czasu podróży Słowackiego, ile utracił ze swej malowniczości i patyny„ a ile nabrał cech kosmopolitycznych. Te ostatnie mają zresztą także swoje dobre strony, podkreślając przez prawo kontrastu w wyobraźni turysty silniej to, z czem bez nich szybko może oswoiłoby się oko. Dlatego też może ja nie przywykłem tak rychło do odrębności widoków, zwyczajów i strojów, stykając się z koniecznością w hotelach i innych wytworach cywilizacji z Europą.

Wydaje mi się jednak, że z natury rzeczy mało się w Egipcie zmieniło od r. 1837, rzeczy istotnych. Prawda, pobudza naszą wyobraźnię świadomość innego okresu historycznego, jaki kraj ten wówczas przechodził, np. wspomniana przez Słowackiego „Ali Mohammeda flota“ — jednakże ani krajobrazowo, ani kostjumowo, ani zwyczajowo nie przetworzył się ten wolny, leniwy strumień życia ciekący po starych, kultem otoczonych grobach, jak Europa z jej w lot narastającą cywilizacją, z powiększaniem się miast, zmianą mód i zwyczajów, zmianą stroju, architektury, sztuki i nawet codziennie używanych przedmiotów. Wszakże tam od czasów Faraonów, fellach orze wciąż tym samym pługiem, młóci tak samo racicami wołów, czerpie wodę temi samemi kołami z wielbłądami w kieracie i na tych samych wozach jeździ do miasta.

Są oczywiście pewne rzeczy, których wtedy w Egipcie nie było, i na odwrót były takie, których teraz niema. Chodzi tu przedewszystkiem o t. zw. zdobycze cywilizacji, a więc koleje, auta, telegrafy, pasażerskie okręty, tamy nowoczesne na Nilu i luksusowe hotele, których Słowacki nie oglądał i które czyniły podróż jego uciążliwszą, ale o ileż bardziej egzotyczną i docierającą do najgłębszych warstw obcego środowiska. Wszak z Aleksandrji do Kairu jechał nie 3-godzinnym ekspresem, lecz powolną „dahabją“ po Nilu; wszak i do pierwszej kataraktv i na zatopioną dziś wyspę Philae jechał łodzią, a do Ziemi Świętej dwa miesiące na koniu. Z Kairu do Gazy podróż jego była jeszcze uciążliwsza, bo na osławionym słusznie, odbijającym wszystkie wnętrzności wielbłądzie, a noc po tej podróży przepędził nie w hotelu z elektrycznem oświetleniem i wodociągami, lecz w grobowcu tureckiego świętego. Widział tedy więcej niż nowoczesny turysta:

„Wielbłądy leżały wieńcem koło ogniska przed grobowcem, nad tą kapliczką rosło wielkie czarne drzewo, w którem całą noc śpiewał puszczyk“ (z listu do matki dn. 17 lutego 1837). A potem te gazele skaczące po stepie, ślady hyen, samotni Beduini na wielbłądach — i kwarantanna w El Arishi, burze pustynne, trzęsienie ziemi na które natrafił w Ziemi Świętej, i te „sępy wielkości człowieka siedzące o zachodzie słońca na górach“ i „mnóstwo żórawi lecących po błękicie, chmury gołębi unoszące się nad wioskami“ (z podróży Nilem) — wszystko to dawała mu włóczęga bez udogodnień cywilizacji XX. wieku.

Widział zaś niejedną rzecz, której już dziś niema (chwała Bogu!) „Widziałem targ niewolników i jedną ładną Abisynkę, za którą dawano już 1 000 fr.“

Jeżeli chodzi o pomniki starożytności, to ciekawem jest odnajdywać u Słowackiego te same uwagi i spostrzeżenia, które się robiło samemu. Pisze więc w listach do matki: „Piramidy nie tak mię zadziwiły ogromem“, a potem: „Widziałem więc piramidy, ale za to straciłem obraz, który sobie o nich moja imaginacja tworzyła“. Zato ruiny Teb i kolosy Memnona, wywarły na nim niezwykle silne wrażenie. Naogół jednak wydaje się, jakby mało zwracał uwagi na hieroglify i niezliczone, a zadziwiające wykonaniem malowidła zdobiące ściany grobowców i świątyń.

Na jeden jeszcze element dziwnie mało zwracał uwagę autor „Ojca zadżumionych“. Przyszło mi to na myśl, gdym przejeżdżał przez El Arish, z owemi palmowemi laskami i z kopułką Szecha. A mianowicie w „Ojcu Zadżumionych“ prawie nie wspomina o morzu, które w El Arish najsilniej przykuwa do siebie myśl, oczy, i serce, przez cudowny kontrast złotej i posępnej pustyni z rzeźwym szelestem fal i spienionym ich błękitem. Podobnie w listach do matki, ani w całej poezji Słowackiego nie znajdujemy reminiscencji z tych długich, trwających całe miesiące podróży morskich. Znak to, że morze jako żywioł i jako bodziec poetycki nie pobudzało jego wyobraźni, ani cudowną grą swoich kolorów, ani bezbrzeżnym, odwiecznym urokiem swego tajemniczego rozlewiska. Świadczy to dobitnie o tem, jak spostrzeganie pewnych rzeczy jest związane ze zmianami psychiki pokoleń. Morze nie budziło wtedy jeszcze tego zainteresowania co dziś w epoce Conradów i Londonów. Nie wtargnęło do poezji. Odkryły je dopiero ludy północne, poeci Anglji i Skandynawji, krajów o tradycjach morskich. Być może zresztą, że wyobraźnia Słowackiego wrażliwa więcej na żywioł ognia, na ustawicznie powtarzane barwy: czerwoną i złotą, nie znajdowała upodobania w leniwym, płynnym szafirze wód.

Byłoby ciekawem zebrać wszystko co poeta o morzu napisał i wysnuć z tego konkretniejsze wnioski o jego stosunku do tego elementu, który dziś stwarza całą osobną literaturę.

Tak więc reasumując wrażenia porównawcze z całej podróży orjentalnej Słowackiego, widzimy, że wpływ jej był bardzo znamienny, a opis tak plastyczny i tak świetny, że trudno byłoby z nim porównać wątłe wiersze następców jego na tym szlaku — pomimo tylu lat doskonalenia się poetyckiego kunsztu. Mam tu na myśli przedewszystkiem „Podróż na Wschód“ A. Słonimskiego.

Nie ulega wątpliwości, że ten — ważny dla badaczów — wpływ jaki „podróż na Wschód“ wywarła na psychikę Słowackiego przyczynił się znacznie do pogłębienia duchowego, do zajrzenia w głąb siebie i w głąb zamierzchłych wieków, na co wskazuje plan egipskiego dramatu naszkicowany przez poetę. Żałować należy, że utworu tego nie napisał.

J. B.

MIECZYSŁAW JASTRUN.

Podróż romantyczna.

Ogrody bzów, tej nocy nabrzmiałe od woni,
Mijamy czarnym cwałem, dudniącym w przestrzeni;
Suchy szelest uprzęży i parskanie koni
Echami tonie w chmurach burzliwej zieleni.

Przed nami, księżyc mgliste płaszczyzny pejzaży
Rozcina, jak stronnice smutnego romansu —
Jak przejmująco dzwoni trąbka dyliżansu
Pod niebem, co w ciemności oddychając, marzy.

Nasza to noc i nasze ogrody i gwiazdy:
Zastygli, zapatrzeni w przestwór nieba wzdęty,
Marzyciele o oczach smutnych jak odjazdy,
Panny wysmukłe w sukniach jak czarne okręty.

Zanim świt, wijąc z woni i szelestów wieńce,
Zapachnie mokrą trawą... U kresu podróży
Raz jeszcze uściśnijmy nieprzyjazne ręce
Tym uściskiem, co nigdy już się nie powtórzy.

Po przez łzy pocałunek oddajmy gorący
Cieniom, szumom mdlejącym w upalnym podmuchu,
I odejdźmy dalecy, obcy i milczący
Z sercem zimnem i zwiędłem, jak róża w sztambuchu.

*) Księżyc.

Marginesy wielkości.

Jeśli określoność, skończoność monolitu znamionuje bezprzykładnie zwartą twórczość Mickiewicza, to dzieło Słowackiego możnaby nazwać poezją „in statu nascendi“, co bynajmniej nie jest jednoznaczne z anarchją słowa, z brakiem wewnętrznego rygoru. Goethego olimpijski aforyzm: „In der Beschränkung zeigt sich erst der Meister“, nie przeciwstawia się bynajmniej zjawisku, któremu na imię: Słowacki — zjawisku o odrębnej, własnej logice konstrukcyjnej, o rygorze wyrazu organicznie swoistym i kryształowo ścisłym mimo tysiączne migotania rozszczepionego światła.

Ta poezja „in statu nascendi“ — to przedewszystkiem „Beniowski“, dzieło, które możnaby nazwać: marginesem Wielkości. Pretekstem tylko był zamiar epiczny poematu; pretekstem pozytywnych wypowiedzi, obnażonych artykułów wiary: społecznej, filozoficznej, narodowej i estetycznej. Dzięki temu właśnie, niedokończony i we fragmentach pozostawiony poemat jest całością pełną i zamkniętą, właśnie jak kryształ, którego geometryczny układ osi jest — bez względu na rozmiary — doskonałą całością.

W tem żarliwem „credo“ manifestującego się ducha nie mogła nie błyskać — szpada.

Nie popełnimy, zdaje się, nieścisłości, jeśli zechcemy uważać Słowackiego za pierwszego w naszem piśmiennictwie polemistę literackiego w wielkim stylu. Giętkość i błyskotliwość słowa, posłuszne go najbardziej lotnym i ruchliwym procesom myślowym, nieuchronnie prowadzą do uświadomienia sobie pióra, nietylko jako dłuta, rzeźbiącego rzeczywistość ducha, ale także — jako szpady w dłoni. To jedno. Przenikliwość wewnętrznego wzroku, ostrość kąta widzenia, oraz pewnego rodzaju poczucie dwoistości, czy wielorakości zjawisk — stwarza postawę zaczepną w stosunku do wszelkiej mentalności jednostronnej, emocjonalnie jednolitej i apriorycznie bezwzględnej. To drugie. U Słowackiego zachodził jeszcze trzeci, bardzo ważny, moment: bolesne osamotnienie i niesłychane w swej bezduszności zapoznawanie przez większość współczesnych jego genjalnej twórczości, krzywdy osobiste o znaczeniu wręcz prowokującem. Dwa ostatnie momenty są zresztą dość ściśle ze sobą sprzągnięte: umysł, współcześnie zapoznawany, osamotniony na uboczu i izolowany obojętnością — urabia w sobie ową ostrość i przenikliwość wewnętrznego wzroku; jego krytyczne nastawienie i wrażliwość są nieporównanie pełniejsze i czulsze, niż u człowieka, stojącego w centrum ideowej walki, w ogniskowem jądrze zjawisk (Mickiewicz).

Nic też dziwnego, że w bogatem dziele Słowackiego tak często podziwiać musimy jego sprawność — przyrodzoną i nabytą — polemicznego sztychu, ową fascynującą, świetną postawę szermierczą ducha, jakiej równą spotykamy chyba tylko u Byrona („Child Harold“ i „Don Juan“). Nie były to bynajmniej — jak mniemali niechętni Słowackiemu krytycy — kapryśne igraszki słowne, czy napastliwe podjazdy dotkniętej i szukającej odwetu ambicji — — tego rodzaju osądy są zbyt niesumiennie prostolinijne. W „polemicznej“ działalności Słowackiego znajdujemy tak potężne i bezosobiste erupcje genjuszu, jak owe, z trzew ludzkiego ducha wyszarpane wiersze „Do autora trzech psalmów“ — — obok tak godnej bogów, walnej bitwy z polską rzeczywistością porozbiorową, jaką jest najwyższego lotu „credo“ w V-tej pieśni „Beniowskiego“. Jasność i precyzja myśli, odwaga serca i moc spojrzenia, sprzymierzone z najświetniejszem, a najposłuszniejszem na świecie słowem: oto, czem były powołane te prawdziwie lwie pomioty ducha.

„Beniowski‘ — powiedzieliśmy wyżej — to marginesy Wielkości. Ten marginesowy charakter nadaje poematowi urok zupełnie osobliwy i niezwykły. On przysądza świetnym oktawom ton i temperaturę; jest gorącem wyżywaniem się ducha genjalnego poety. Wielopłaszczyznowość tego ducha, przez Boga szlifowana i stokrotnie uwrażliwiona, skrzy się w tych strofach najczystszym, brylantowym ogniem.

A tak żywym i potężnym był genjusz, przez straszny kaprys tegoż Boga wcielony w kruchej kości ludzkiej, że cała jego twórczość zdaje się być jedynie zdumiewającym odbłyskiem skrzydeł, raz na stulecie przelatujących nad ziemią — — jedynie (właśnie) białym marginesem, na którym rozwahany ogromnie promień słoneczny wypisał jedno, nieśmiertelne, ogniste Słowo.

Leon Kruczkowski.

Niedawno jeszcze wasze mogiły
Trąciłem piosnką moją, wygnanko,
I wnet się ze snu grobów ruszyły,
Wnet się ruszyły, o Krakowianko!

Niedawno mój duch ogniami dmuchnął
Na górę Heklę, tak jak prorocy,
I wnet z pod ziemi wulkan wybuchnął,
Od stu lat śpiący... wulkan północy.

J. Słowacki.

Polsko, ojczyzno! padaj ze mną na kolana,
I proś Boga o starcie złotego szatana,
Który spadł z nieba jako jasna błyskawica,
Zmiótłszy trzecią część twoich gwiazd i ćwierć księżyca,
Nie z woli, ale właśnie zaparciem się woli,
Myśląc, że Bóg na skrzypcach szlachcica rzępoli,
Za cudownością wszelką, idący po ciemku.

J. Słowacki.

Wystawa w Ossolineum.

Wystawa pamiątek po Juljuszu Słowackim w Ossolineum. W dniu wyruszenia konduktu pogrzebowego ze zwłokami Słowackiego z Francji 16 czerwca w gmachu Ossolineum otwarto wystawę pamiątek po Wieszczu. Zakład Narodowy im. Ossolińskich chlubi się posiadaniem największej liczby rękopisów autora „Króla-Ducha“ — posiada też cenne portrety, dawne wydania dzieł, medale i inne pamiątki związane z osobą i twórczością poety. Ciekawość w zbiorach budzą: sekretarzyk podróżny Słowackiego i szafka, w której poeta przechowywał dziecinne kajety i in. Bogaty jest zbiór portretów rodziny Wieszcza i Jego samego z rozmaitych okresów życia. Sztychy przestawiają widoki miejscowości związanych z życiorysem poety. Wreszcie znajdujemy na wystawie dzieła sztuki oparte na utworach poety, mianowicie obrazy Malczewskiego, Pruszkowskiego, Grottgera, Młodnickiego. Niektóre pochodzą z galerji miejskiej.

OD REDAKCJI.

Numer niniejszy rozpoczyna już nowy, szósty kwartał. Prosimy uprzejmie o rychłe odnowienie prenumeraty, celem ostatecznego uregulowania nakładu.

Prenumerata kwartalna — 1.80 zł.
„ półroczna — 3.60 „
„ roczna — 6.00 „
Konto P. K. O. Kraków 406.000, Warszawa 153.210.

*

Piękność jest to wszystko co wyaniela materją.

*

Wielki człowiek jest ten, który jak najwięcej przeszłości ma przytomnej w duchu i jak najwięcej przyszłości stworzonej duchem i już w sobie zrealizowanej...

*

Poeta, co dobre dzieło napisze, a turbuje się o nie, jest niepodobny Bóstwu, — bo czyżby Bóg stworzywszy słońce posłał anioła, aby się dowiadywał, czy już na nie patrzą ludzie.

*

Język stworzyć narodowi jest to szatańska przysługa. Wkrótce z formy wydobyć się nie może, leniwieje duchem — i łatwość tłómaczenia się bierze za obfitość myśli.

J. Słowacki.

„Balladyna" w Teatrze im. Jul. Słowackiego.

(Wywiad z dr. Świątkiem).

Wiedząc, że Teatr im. Juljusza Słowackiego przygotowuje się żarliwie do uroczystego uczczenia Cieniów Wieszcza tak wystawieniem Balladyny, jak i specjalnem wydawnictwem, udałem się do dra Tadeusza Świątka, kierownika literackiego sceny krakowskiej dla zasięgnięcia bliższych informacyj o tych godnych najwyższego uznania zamierzeniach.

Ponieważ rozmowa nasza zaczęła się od całokształtu przygotowań czynionych przez społeczeństwo na przyjęcie prochów wygnańca z Montmartre i horoskopów co do ich organizacji i wykonania — zainteresowałem się oczywiście tem, w jakich rozmiarach teatr krakowski myśli partycypować w tej olbrzymiej manifestacji i jak ukierunkował swoje wysiłki.

— Poeta dramatyczny — zauważył dr. Świątek — twórca wielkiego repertuaru polskiego, powinien być uczczony przedewszystkiem w teatrze. Dlatego też scena krakowska w poczuciu ciężkiej odpowiedzialności chwili, świadoma kategorycznego obowiązku, dołożyła wszelkich starań, aby nie zawieść tego zaufania, jakie pokłada w niej kulturalna publiczność polska. Prawdziwy nawał żmudnych prac przygotowawczych poprzedził skrystalizowanie się tego, z czem wystąpimy teraz zarówno w nowej inscenizacji „Balladyny", jak i kosztownem, cierpliwie i sumiennie zestawionem wydawnictwie, które powinno stanowić w przyszłości prawdziwie cenny materjał dla teatrologów i badaczy dramatu Słowackiego.

— Aż nadto dobrze zdaję sobie sprawę z ofiar, jakie ponosi teatr doprowadzając do skutku te dwie imprezy samodzielnie, bez pomocy zapewne czynników kierujących uroczystością — i to w okresie letnim, gdy wszystkie sceny z trudem dobijają już do przystani, kończąc sezon lekkim, „kasowym" repertuarem.

— Istotnie, jeżeli chodzi o pomoc to — delikatnie mówiąc — doznaliśmy jej niewiele, mimo, że zdawałoby się, główny nacisk powinien był być położony przez czynniki decydujące właśnie na imprezach artystycznych, a co za tem idzie, na teatrze. Ale nie mówmy o rzeczach przykrych. Przejdźmy raczej do samej „Balladyny".

— Właśnie chciałem się spytać, czy odrazu wybór dyrekcji teatru padł na „Balladynę" i jakie w tym wyborze kierowały nią motywy.

— Wybieraliśmy ostrożnie i namyślaliśmy się długo, ostatecznie jednak na „Balladynie" musiało się skończyć. „Kordjan" zanadto już ograny na amatorskich scenkach i zanadto obciążony szablonem „patrjotycznego" widowiska. „Mazepa" niegdyś cieszący się największem powodzeniem, dziś mniej podoba się publiczności. I słusznie. Środowisko szlacheckie w którem obraca się ten utwór, dziś już widowni nie nęci, a cała kontuszowa parada czyni go dekoratywnym przeżytkiem. „Balladyna" wysunęła się tedy siłą rzeczy na czoło, jako wielka, olśniewająca koncepcja dramatyczna o wysokim podkładzie irracjonalnym. Wznawiając przegrane już asy repertuaru chce się tworzyć, budować od nowa, przekształcać. „Balladyna" daje najwięcej pola do tej twórczości, zarówno reżyserowi, jak malarzom, jak i aktorom wreszcie, którym teraz dopiero wytycza się dogłębne drogi dojścia po nitkach ról do istotnego sensu sztuki. A zresztą był jeszcze jeden wzgląd, bodaj że najważniejszy...

— Ten właśnie najwięcej mnie zaciekawia...

— Mojem zdaniem jest to sprawa zasadniczej wagi. W stulecie romantyzmu należało wskrzesić przed oczyma widzów właśnie ten doskonały okaz i wzór romantycznego dramatu, ten twór wprost programowy, który łączy w sobie idealnie posępną groteskę Wiktora Hugo, tego romantycznego olbrzyma, z elementem szekspirowskim i mglistym pierwiastkiem bajki i ballady. Słowacki czyniąc to, zdawał sobie z tego dokładnie sprawę. Synteza jego była świadoma. Nie nadarmo przecież uczęszczał tak gorliwie do francuskiego teatru.

— Zdaje mi się, że z tej perspektywy nie patrzono jeszcze na „Balladynę" wystawiając ją w Krakowie przez 15-stu laty.

— Bo też był to chaos i bałagan. Prawdziwa „commedia del arte". Wszystko szło samopas. Nie było wtedy jeszcze żadnej zasadniczej linji, żadnej dominanty, żadnego kręgosłupa. Wysocka grała sobie (zresztą nawskroś realistycznie), inni aktorzy znowu sobie bez spójni i bez planu. Dekoracje banalne, nic nie mówiące.

— Dziś zatem reżyserja zabiera się do dzieła z gruntu inaczej...

— Przedewszystkiem konstruuje, jednoczy. Kojarzy i zbliża rozbieżności, starać się nadać jeden zasadniczy ton całości. Pracuje się w myśl wyżej wspomnianych założeń. Trzeba tu było stworzyć polifonję, syntezę elementów dramatu romantycznego. A więc ani wyłącznie Szekspir, ani bajka, ani starosłowiańszczyzna — tylko harmonijny, dobrze przemyślany zespół tego wszystkiego. Tak np. uczta nastrojona na teatr szekspirowski, scena nad Gopłem na balladę i t. p. Podkreśla się ten pierwiastek irracjonalny, który tam góruje, naciska strunę romantycznej ironji przesycającej sztukę, uwydatnia się ślepotę rzeczy nieprzewidzianych, falowanie przypadku ciążące nad losem człowieka. Dzięki p. Stryjeńskiej motyw słowiański jest może zbyt donośny, ale jej znakomite pomysły dekoracyjne narzucając się oczom, mimowoli nawet nadają dramatowi tak silne piętno.

— Przyznam się panu, że to najbardziej pobudza moją ciekawość. Zdaje mi się, że talent p. Stryjeńskiej dał sobie doskonale radę z piętrzącemi się trudnościami.

— Trudności te odstraszały ją zrazu, podobnie jak szereg innych malarzy, do których zwracaliśmy się z propozycją współpracy w „Balladynie". Początkowo nawet odmówiła stanowczo; w tydzień potem depeszowała jednak z Zakopanego, przyjmując propozycję i donosząc, że ma już połowę projektów gotowych. Zepewne zechce je pan oglądnąć.

Przejrzawszy uważnie i z zachwytem oryginalne pomysły inscenizacyjne p. Zofji Stryjeńskiej, postanowiłem dowiedzieć się jeszcze od p. Świątka cośniecoś z dziejów dramatu Słowackiego na scenach polskich.

— Dotychczas sądzono — mówi dr. Świątek — że pierwsza premjera Słowackiego przypada na rok 1868, kiedy to Hoffmanowa wystawiła „Balladynę", grając w niej tytułową rolę. Wogóle na ten temat panowały długo dość drastyczne i nieskrystalizowane poglądy. Teraz stwierdziło się jednak, że po raz pierwszy grano go już w 2 lata po śmierci, niestety bez powodzenia. W zamierzchłych rocznikach „Czasu" znaleźć można niezmiernie ciekawą recenzję Siemieńskiego o tej premjerze. Jest to pierwsza tego rodzaju w Polsce głęboka analiza teatralna traktująca rzecz poważnie i od podstaw.

— A „Balladyna" Hoffmanowej, jak się powiodła?

— Naogół nieźle. Hoffmanowa obracała się w kołach ówczesnej arystokracji ziemiańskiej; równie ciekawe jak i zabawne są tedy głosy tych sfer o „Baladynie". Pojmowali oni ją jako satyrę na chłopemaństwo, sądząc że rozmyślnie uczynił Słowacki wiejską dziewczynę zbrodniarką. Po Hoffmanowej doskonale, choć realistycznie grała „Balladynę" Wysocka, o czem już wspominałem.

— A czy ma pan pod ręką jakieś dane statystyczne co do innych sztuk Słowackiego i zainteresowania się niemi publiczności?

— Cały materjał statystyczny ogłaszam w naszem wydawnictwie teatralnem. Są to bardzo ciekawe cyfry. Wogóle wystawiono Słowackiego w Krakowie 434 razy (wraz z „Balladyną"), w tem Stary Teatr 56 razy, a Nowy 358 razy. W Starym Teatrze najlepiej szedł „Mazepa"; dawano go tam 13 razy (tyleż i w Nowym), daje to świadectwo ówczesnym zainteresowaniom publiczności. Wogóle największą cyfrę przedstawień osiągnął „Kordjan", bo aż 81; potem „Lilla Weneda" (48), „Książę Niezłomny" szedł u nas 39 razy, „Balladyna" tak samo, „Ksiądz Marek" 32 razy. Inne pozycje znacznie mniejsze.

— A jakże było za t. zw. „dobrych czasów" teatru krakowskiego?

— Ma pan na myśli dyrekcję Pawlikowskiego i Kotarbińskiego. Pierwszy nie cierpiał Słowackiego i wogóle nie chciał go wystawiać. Zato Kotarbiński położył w tym względzie bodaj że największe zasługi. Jemu zawdzięcza wielki repertuar polski, wzbogacenie szeregiem arcydzieł. Charakterystycznem jest jednak, że Pawlikowski w czasie pobytu swego we Lwowie kpił sobie z Kotarbińkiego, mówiąc, że ten wystawia w Krakowie „wierszyki".

— A „Balladyna" poza Krakowem?

— Wystawiał ją Ruszczyc we Wilnie i Szyfman w Warszawie. Jeżeli chodzi o Ruszczyca, to mam tu pod ręką illustracje jego projektów inscenizacyjnych. Jak pan widzi, pomysły zupełnie nieoryginalne i nic nie mówiące. Sala na zamku, jakby wzięta z pałacu Wilhelma, kostjumy wprost odbite ze wzorów ludowych i szlacheckich. Żadnej stylizacji, żadnego planu artystycznego w tem niema. Wogóle Słowacki, to jeszcze repertuar przyszłości. Im bardziej zagłębiamy się w nim, tem większe otwierają się możliwości.

— Dostrzeżenie tych możliwości jest już zapowiedzią ich realizacji.

— Oby tak było. Są tu jeszcze całkiem nowe rzeczy do zrobienia. Ogrom pracy.. Wiele zależy tu od zrozumienia całokształtu jego teatru, wiele od podejścia doń od właściwej strony, wiele od wykształcenia i nakierowania aktorów, wiele wreszcie od malarza, który przyczynia się do syntezy. Tak było z Siedleckim w „Lilli Wenedzie", tak było z Fryczem w „Księciu Niezłomnym", tak jest i ze Stryjeńską. Ot, naprzykład „Nowa Dejanira"...

— Czy i ona jest w planie?

— Gramy ją w przyszłym sezonie. Nie ma pan pojęcia, ile tam niewyzyskanego materjału. Dotąd nie naświetlano jej jeszcze w ten właśnie sposób. Ta znakomita satyra na epokę Krasińskich i pań Bobrowych, na te księżycowe romantyczne pary, włóczące za sobą jak komety ogon poezji po Europie — rzucone na tło zwykłej, razowej wsi polskiej, na którem tak anachronicznie wygląda to całe romantyczne rusztowanie — przecież to skarb dla teatru. Wielki, psychologiczny dramat... Ale wracajmy do „Balladyny"...

— Chciałem prosić o parę informacyj co do tekstu i obsady.

— Tekst prawie bez zmiany. Skrótów niewiele. Wyrzuciło się scenę z Wawelem. Scena w sali z uderzeniem pioruna przeniesiona na wały. Daje to większy efekt nad gołem niebem. Co do obsady, to... „Balladynę" gra Chałacińska. Alinę Kossocka, Matkę Kosmowska, dalej Rozmarynowski (Filon), Socha (Kostryn), Surzyński (Kirkor), Jednowski (Pustelnik) — dawna jego rola, Suchcicki (Gralon), Starska (Goplana), Bednarska (Chochlik) i Drabikówna (Skierka).

— A jak zestawił pan wydawnictwo?

— Chodziło mi o to, by o każdej epoce mówili naoczni jej świadkowie. A więc o Starym Teatrze p. Estreicher i p. Wolski (ze swego pamiętnika), o Modrzejowskiej p. Kotarbiński. Mam przytem niezwykle ciekawe rysunki Modrzejewskiej do ról. Potem pisze Kotarbiński o pięcioleciu swojej dyrekcji, p. Haecker, ten wytrawny, długoletni recenzent dał nam szkic syntetyczny „o losach kultu Słowackiego w teatrze krakowskim", p. Brahmer o Balladynie (w stuletnią rocznicę romantyzmu) — dalej głosy o Balladynie i Księciu Niezłomnym zebrane przez p. Kleinera, stare recenzje, pierwsze afisze, przegląd obsad i wyczerpująca statystyka. Wydawnictwo zawiera 5 arkuszy druku i około 100 illustracyj.

Opuściłem gabinet p. dra Świątka z wyrazami szczerego podziwu dla energji i wielkiego wysiłku zasłużonej sceny krakowskiej.

Słowacki w muzyce polskiej.

Muzyka polska pieśniarska w 19 i 20 stuleciu bardzo niejednolity wykazuje gust w doborze tekstów, Wielcy wieszczowie romantyczni nie mieli szczęścia do mistrzów muzyki. Jedynie Mickiewicz pociągnął twórczy instynkt Chopina i Moniuszki do kilku drobnych pieśni i ballad, nawet do całych cyklów (Sonety krymskie) i dramatycznych poematów (Dziadów część II). Krasiński był ignorowany przez bardzo długie lata, aż się „zlitował" nad nim **Żeleński** w kilku pieśniach, w obydwu nienajlepszych. Słowackiego wierszy nie tknął się nikt długi czas aż bodaj do **Karłowicza,** którego pierwszy zbiorek pieśni z przed lat kilkunastu zawiera cenną perełkę do słów: „Skąd pierwsze gwiazdy na niebie zaświecą", śpiewaną przez cały polski śpiewaczy tłum. Subtelny koloryt smętku w muzyce Karłowicza dobrze oddaje melancholję żałosnego fragmentu z „Szwajcarji", tworząc kongenialne arcydziełko swego rodzaju, stąd pierwsze mu się należy w regestracji wspomnienie. Bardzo ozdobnie, w bogatej ornamentyce harmonicznej i wymownej rytmice wypowiedział **St. Lipski** wiersze Słowackiego w „Pieśni kozackiej dziewczyny", oraz w drugim fragmencie „Szwajcarji" p. t. „Pójdziemy razem". Pieśni te nie osiągnęły takiego sukcesu jak poprzednio omawiana, choć zasługują na respekt śpiewaków nieprzeciętny, zwłaszcza na tem „bezrybiu" pieśniowskiem. Ten ambitny i uzdolniony krakowski pieśniarz obdarzył nas również prostą, niewyszukaną pieśnią Słowackiego p. t.: „Baranki moje", ułożoną zręcznie na chór mięszany. O wiele skromniej pod względem motywu muzycznego i harmonizacji przedstawiają się pieśni na 3 głosy żeńskie p. t.: „Smutno mi Boże!", „Czajki" i (znowuż!) „Baranki moje"' układu **Wł. Rzepki,** a nie wznosi się też wysoko nad poziom rutyny kompotytorskiej „Chór harfiarzy" z „Lilli Wenedy" **M. Surzyńskigo.** W rękopisie jeszcze pozostają dwa utwory choralne: „Pogrzeb Napoleona" prof. Uranowicza z repertuaru „Echa Krakowskiego" „Modlitwa": „We łzach nasze oczy podnosimy do Ciebie, Panie..." kompozycji **B. Wałewskiego,** śpiewana dawniej w chórach małopolskich. Kantata **Jareckiego** do „Hugona" i **Wyleżyńskiej:** „Smutno mi Boże" utonęły w fali zapomnienia tak samo jak **Jareckiego:** „Sonet pierwszy' i **Sołtysa:** „Ty skromne dziewczę". Na tem wyczerpałaby się twórczość muzyczna polska złączona bezpośrednio ze słowem wielkiego „Króla-Ducha". Tak znikomą liczbę tłómaczyć można tem, że język Słowackiego mało ma w sobie pierwiastków pieśniowych, rytmicznie przebogaty, nadmiernie ruchliwy, genialnie niespokojny, przesubtelniony w delikatności wyrażeń, przebujny w metaforach i porównaniach, niesłychanie zmienny i wymagający ustawicznej pointy co zdanie prawie, niedoścignięny w kalejdoskopowej gonitwie słów, które jakby czyhały na siebie, żeby się sobie wzajemnie przeciwstawić i nowy nastrój uczuć, czy myśli wprowadzić. Muzyka, zwłaszcza ta z przedostatniej doby szła mimo wszystko z upodobaniem dla szerszej linji, dla frazy okrąglejszej, na dłuższym tchu opartej. Wszakże Chopin, ten prorok nowoczesnej muzyki dał nam bądźcobądź długie linje melodyjne, zaznaczając swój „nowoczesny niepokój", jedynie bogatą zmianą harmonicznych modulacji. Inni współcześni i późniejsi bardziej byli „rozśpiewani i rozgadani", stąd trudno im było nadążyć melodją za wichrem poetyckiego zdania Słowackiego. Stąd tyle pieśni do słów Zaleskiego i Witwickiego, a później Asnyka, Konopnickiej, Tetmajera, Rydla i wszystkich innych, którzy nadawali wierszom swym często formy ludowej pieśni, lub romansy.

Słowacki dał jednak w dramatach swych okazję do napisania kilku librett operowych. „Mindowe", „Balladyna" (czyli Goplana), „Mazepa" i „Beatrix Cenci", oto korowód tragicznych postaci dających natchnienie **H. Jareckiemu, Żeleńskiemu, Minchejmerowi i Różyckiemu.** Muzyka tych oper nigdzie nie dorasta do tej siły dramatycznej, jaką daje sceniczny temperament Słowackiego, najwięcej może patosu wykazuje Różycki, a najsilniejszy wyraz polskości w dobrze opracowanym folklorze muzycznym Żeleński, brak tylko słowa właściwego, bo libretta są tylko przeróbką, raczej trawestacją, lub fantazją wierszorobną na tle znanych dramatów. Odgrywają przeto te dzieła sceniczne rolą jakby popularyzatorską dla szerszej publiczności.

O większem znaczeniu artystycznem są poematy symfoniczne: **„Anhelli" Różyckiego i „Lilla Weneda" Opieńskiego,** ten pierwszy zwłaszcza dobrze zasłużony na karcie polskiej muzyki symfonicznej przez swe bezpośrednie natchnienie i doskonałą fakturę instrumentacyjną. Interesującą również kompozycją a przedwcześnie schodzącą z estrady jest utwór fortepianowy **Różyckiego** p. t.: **„Balladyna",** w którym polot muzyczny dobrze utrafia w charakterystykę ponurej bohaterki poematu dramatycznego. Szlachetny wyraz posiada muzyka do dramatów stosowana jako melodram do „Księcia Niezłomnego", napisana przez subtelnego harmonizatora **Marczewskiego** i do „Lilli Wenedy" kilka fragmentów **Żeleńskiego.**

Luźniejszy związek z Słowackim ma kantata **Galla** do słów Rossowskiego: „Temu, co jak płomienny słup..." napisana popularnie i dość szablonowo na uczczenie setnej rocznicy urodzin poety, nadto: „Pochód do Panteonu" **Fettera** z r. 1909 oraz „Marsz" (?!) pamięci Słowackiego, wykombinowany przez **Płosajkiewicza.** Specjalny charakter melodeklamacji na tle fortepianowego akompaniametu został wyzyskany przez **Fettera** do hymnu: „Smutno mi Boże". To byłoby wszystko! Czy jest teraz okazja do pobudzenia twórczości muzycznej polskiej, kiedy ciało Słowackiego idzie do ziemi rodzinnej trudno osądzić, bo niezawsze popioły potrafią zapłodnić żywą glebę, zwłaszcza, że „wielki samotnik" istotnie trudno trafiał do współpracowników dla swej bezprzykładnie lotnej fantazji poetyckiej.

Lokalne na razie i obrzędowe niejako znaczenie ma „Marsz żałoby" **M. Świerzyńskiego,** napisany świeżo z okazji pogrzebu, utwór o charakterze wybitnie lirycznym, słowiańskiego posmaku.

Bolesław Wallek Walewski.

LEON KRUCZKOWSKI.

Apostrofa.

Prochy — marmurom, a słowa — ludziom!
Pokłonimy się kościom, za słowami — pójdziemy!
Prochom, milcząc, chwałę oddamy późną,
Słowami — wyrośniemy!

Imię — tarcza przeciwko ciemności,
Słowo — miecz, w ciemność godzący — —
Sercami — pokłonimy się kościom
My, żyjący — cierpiący — miłujący!

Wejrzyj na nas, Cieniu, twarzą, którą znamy —
Powiedz Słowo, które umiemy na pamięć — —
...Pacierz złożymy na grobie — nie kamień!
Otoczymy grób:
— my, serca bijące, walczący szaniec!

MARJAN SEWI.

„W Szwajcarji".

Chociaż wciąż nową żądzą płoniemy łakomą,
Chociaż od życia żądamy wciąż więcej i więcej,
To przecież wątpliwe jest, przecież niewiadomo,
Czybyśmy kochać zdołali goręcej.

Jest nasza miłość młodej krwi butą!
Najżywsza, najgorętsza, wszystko dla nas znaczy,
Lecz jest nam czasem tak okropnie smutno,
Że nie umiemy kochać zupełnie inaczej.

Że nie umiemy wić wieńców z wodnych pian białości,
Z cyprysowych woni, z tęcz i z awemaryj, —
Zapomnieć chcielibyśmy czasem o naszej miłości,
Raz jedyny kochać i cierpieć, jak „W Szwajcarji".

Ogromne milczenie.

Irena Kosmowska: Kto to jest Juljusz Słowacki? Nakład. „Naszej księgarni", Sp. Akc. Zw. Polskiego Naucz. Szkół Powsz. Warszawa 1927.

Nie było dotąd u nas nieledwie zupełnie książek popularnych, któreby w sposób przystępny dla wszystkich, nawet i tych mało wykształconych i oczytanych, w sposób prosty mówiły, jaką wartość posiadają utwory Słowackiego i jaka jest ich myśl przewodnia. Marzenie Mickiewicza, aby jego książki „zabłądziły pod strzechy", spełniło się poniekąd — tylko w stosunku do niego samego. Nie dziwi nas to wcale. Słowacki długo jeszcze zapewne pozostanie poetą ludzi wykształconych — a o dziełach jego rzec nie możemy, aby były „proste, jako (ludowe) piosenki". Niemniej — wiedzieć o nim, czcić go, powinien dziś każdy Polak.

W zasadzie tedy przyklasnęlibyśmy z chęcią pracy pani Kosmowskiej, gdyby nie to, że do szlachetnego celu dążyła drogą wręcz niewłaściwą. Boć pisanie książeczek popularnych jest rzeczą bardzo trudną. Musi się w nich być zrozumiałym i jasnym, ale trzeba także być prawdomównym. Należy kwestje zawiłe upraszczać, ale wyrażać je w sposób ścisły i zgodny z prawdą. Lepiej opuścić i pominąć niejedno, niż w zapale niewłowania niebotycznych myśli, stawiać je na głowę. W przeciwnym razie łatwo wpaść w przysłowiowe już dzięki Feldmanowi „pomniejszanie olbrzymów".

Inaczej niestety nazwać nie mogę niektórych ustępów omawianej książeczki. Odnosi się to szczególnie do rozdziałów traktujących o mistyce Towiańskiego i filozofji Słowackiego, na jej podłożu wyrosłej. Niemniej i w innych częściach nie brak grubych nieścisłości wynikłych ze zbyt pośpiesznego, na pozorach tylko opartego łączenia faktów. Omawiając wpływ rewolucji listopadowej na twórczość Słowackiego pisze autorka, że w r. 1831 „wykryto", jakoby ojczym poety, dr. Bécu „pozostawał na służbie rządu rosyjskiego. Zdarzyło się, że wtedy właśnie od pioruna zabity, zmarł". W dwu zdaniach — dwie nieścisłości. O „wykryciu" zdrady dra Bécu nie można właściwie mówić a odnośne sceny z III. części „Dziadów" opierają się na opinji publicznej i stanowić mają jeszcze jeden rys charakterystyczny dla stanów umysłowych wileńskich Polaków z epoki procesu Filaretów; pozatem tragiczna śmierć dra Bécu wypada na rok 1824 a nie 31.

„Kordjan", to według autorki „dzieje młodzieńca, szlachcica z rodu, którego wydało „za grzechy ojców w groby kładące się plemię." A gdy lud konał... on wołał:

Czas, Boże, byś lud ten podniósł
Lub gromem dokonał... (cytat nieścisły).

Jest to charakterystyka utworu nic nie mówiąca, co więcej dająca o nim ludziom prostym a naiwnym pojęcie do gruntu fałszywe. W rzeczywistości niewiele to czytelnika „Kordjana" obchodzi, że bohater jest szlachcicem. Nie należało również w usta Kordjana wkładać parafrazy słów Archanioła z „Przygotowania".

Podobne nieścisłości obserwujemy wszędzie, czy to mowa jest o tem, że „w Paryżu żyła gromadka zesłanych" (!), czy o wycieczce poety w góry Szwajcarji z rodziną „Wodzyńskich" (!), czy wreszcie autorka chce w nas wmówić, zapewne wskutek niedopatrzenia logicznego następstwa myśli, że społeczeństwo polskie po rozbiorach składało się z „magnatów, którzy przyszli do nędzy".

Nie brak wreszcie i zdań takich, jak: „Wiele utworów Słowackiego może być w teatrze odgrywane" (!!), co już ze względów formalnych obniża wartość książeczki do minimum.

Wniosek z powyższych rozważań być może tylko jeden. W chwili, gdy drugi wieszcz Polski wraca na łono ojczyzny, żaden hołd składany Mu nie może nam pozostać obojętnym. Przypomnieć by tylko należało, że w pewnych wypadkach najwyższy wyraz hołdu przejawić się powinien „ogromnem milczeniem".

J. F.

* * *

Idea ta jest duch — po skutkach ją poznacie, kto weźmie ducha, będzie rósł, kto nie weźmie, będzie drobniał.

Upokorzenie to byłoby dla ludzi — gdyby ją mieli brać z ksiąg nowych — gdyby człowiek, nowy Mesjaniec Boży, to tylko wiedział, co mu powiedziano — a na książkę jaką przysięgał i do niej się odwoływał... Twórczość nowych ludzi nie będzie żadną poddanką prócz Bożą...

J. Słowacki.

* * *

„Bluszczowość" i „siła fatalna" — te dwa określenia powtarzają się niemal we wszystkich ocenach i charakterystykach twórczości Słowackiego. Wpływy literackie, którym Słowacki podlegał, i wpływy, które wywarł na potomnych, — stały się zagadnieniami centralnemi. Zestawienie znamienne dwuch sił, napozór wykluczających się, przestanie nas dziwić, jeśli zdamy sobie sprawę, że jedynie Szekspir, najpotężniejszy i nieprześcignięny genjusz dramatyczny wszystkich narodów i wieków może być brany pod uwagę jako mistrz, u którego największy nasz dramaturg przed Wyspiańskim kształcił się i na którym świadomie się wzorował.

Ale autor „Króla—Ducha" był nietylko Szekspirem polskim. Wchłonął on w siebie całą przeszłość i ówczesność polską; zżył się z największemi duchami świata od Homera i Platona, poprzez Dantego i Calderona, aż do Byrona i Mickiewicza; blizcy mu byli mistycy jego doby i w tym czasie odkryci lub przypomniani, z Biblją nie rozstawał się nigdy. Ale miał w sobie własną potęgę intuicji i nieprześcignione w Polsce bogactwo genjalnej fantazji twórczej. Siły te dały mu wybiec daleko przed współczesnych i stać się prekursorem prądów znacznie późniejszych. Przez całe krótkie życie w słabem, gruźlicą zjadanem ciele poety potężnie działał i tworzył „duch wolny — wieczny rewolucjonista".

Wielkość Słowackiego nie jest choćby o cal mniejszą od wielkości Mickiewicza. Obok wykutego z jednej bryły posągu bohatera, dochodzącego w swej konsekwencji aż do fanatyzmu, wyrasta równie potężna harfa artysty. Słowacki górował nad Mickiewiczem rozległą znajomością duszy ludzkiej, w której na całym obszarze naszej literatury dorównał mu jeden chyba Żeromski, i może właśnie dlatego dla wielu z nas dzisiejszych Słowacki jest bliższym. Nie cofnął się przed najtrudniejszemi zagadkami bytu człowieczego, a jeśli nie wszystkie jednakowo szczęśliwie rozwiązał, ujmował je zawsze niezwykle głęboko. Już w młodości wydobył się bowiem z ciążących nad twórczością polską ciasnych opłotków Soplicowa i otworzył przed nią najszersze horyzonty światowe.

Popularności Słowacki za życia nie zdobył, przez długi czas popularnym był tylko Mickiewicz, ale w kołach węższych Słowacki był znany i doceniany od początku. Wystarczy przypomnieć Krasińskiego i Norwida, z późniejszych Asnyka i Sienkiewicza.

Zatriumfował Słowacki dopiero w 50 lat po zgonie. Za czasów Młodej Polski był na ustach wszystkich i na krótki okres wyrósł nawet ponad Mickiewicza. Tetmajerowi, Przybyszewskiemu, Wyspiańskiemu, Kasprowiczowi, Żeromskiemu, Micińskiemu, że wymienimy tylko najważniejszych, — był mistrzem właśnie Słowacki. Oddziaływanie poety stało się tak górującem, że trzeba była aż renesansu Mickiewicza, aby kult obu poetów stanął wśród ogółu na równym poziomie. I my dzisiejsi wyrośliśmy nietyle z Mickiewicza, ile raczej ze Słowackiego. Genjalne bogactwo psychologji i szczytowe mistrzostwo języka są niewyczerpanym skarbem, skąd pokolenia brały i brać będą pełną ręką, dopóki język polski nie przestanie być żywotnym.

Przed Słowackim mieliśmy jednego naprawdę wielkiego poetę — Jana Kochanowskiego, o jedenaście lat od Słowackiego starszy Mickiewicz w oczach naszych jest mu rówieśnym. Dopiero ci dwaj rozkołysali w Polsce morze poezji, na którem wzrastać poczęły coraz liczniejsze fale, po dziś dzień płynące.

K. C.

Abonujcie „Gazetę Literacką"

Ivo książę Vojnović.

(Notatka z okazji siedemdziesięciolecia).

Luminarz literackiego świata Królestwa Serbów, Chorwatów i Słoweńców, poeta wysokiej klasy, świetny stylista i znakomity dramatopisarz jugosłowiański, znany i u nas Ivo książę Vojnović święcił niedawno jubileusz siedemdziesięcioletniej rocznicy urodzin, a blisko półwiecze działalności pisarskiej.

Ivo Vojnović ujrzał światło dzienne w Raguzie 9 listopada 1857 r. jako dziecię arystokraty chorwackiego Kosty, serdecznego przyjaciela wielkiego patrjoty jugosłowiańskiego biskupa Strossmajera, który podówczas był głową katolickiego ruchu w Dalmacji. Wychowany w atmosferze wysokich wartości kulturalnych, we wczesnej młodości przejawiał niepowszednie zdolności, zmierzając w kierunku literackim, gdy brat Iva, Lujo stał się wytwornym publicystą o pokroju historyka, filozofa, estetyka i bardzo ukształconego polityka.

Po gimnazjalnych studjach w Spalate i Zagrzebiu oraz ukończeniu uniwersytetu, młody Ivo absolwował się z prawa w Wiedniu i został później urzędnikiem sądowym przy chorwackim sądzie. Następne lata był zatrudnionym w krajowej służbie cywilnej w Zarze, Raguzie i Brazzo. Praca urzędnicza nie przeszkadzała mu jednak pisać...

We współczesnej chorwackiej nowelistyce był jednym z pierwszych pisarzy, obrazujących kryzys, jaki objawiał się w ludzie, dotychczas żyjącym w patrjarchalnych zwyczajach, w nowych socjalnych warunkach. Realizm, jaki charakteryzował pierwsze nowele Vojnovića daleki był od chłodnego traktowania zagadnień, lecz przeciwnie uderzał każdego czytelnika swoim liryzmem i głębokim sentymentem. Na francuską modłę skreślone są piękne obrazki dubrownickie „Piórem i ołówkiem“ i nowelka „Ksanta“.

Vojnović jednak zasłynął nie jako nowelista, lecz jako dramatopisarz jugosłowiański, którego dzieła cieszyły się wielkiem powodzeniem na scenach południowo-słowiańskich. Dramaty: „Ekvinokcij“, „Dubrovacka trilogija“, „Gundulicev san“, „Smert majke Jugovića“, zyskały mu wielki rozgłos, a już „Smert majke Jugovića“ uchodzi dzisiaj za niemal reprezentacyjną sztukę narodową Jugosławji.

Szczegółową analizę dzieł Vojnovića znaleść można w pracy prof. Dr. Franciszka Wollmana p. t. „Dramat serbochorwacki“ (Bratisława, 1924, w języku czeskim).

Z ostatnich jego sztuk należy wspomnieć dzieło „Imperatrix“ i graną w warszawskim Teatrze Narodowym sztukę „Maskarada na poddaszu“ (1922).

Vojnović jest właśnie reprezentatywnym dramaturgiem jugosłowiańskim, a chociaż dzieła jego mają starą formę, chociaż górny patos graniczy w nich z południowym zapałem, to jednak wszystkie są mocno sceniczne, życiowe i liryzmem natchnionej lutni tchnące.

Najwyraziściej sylwetka księcia krwi i literatury jugosłowiańskiej zarysowała się podczas jubileuszowych uroczystości „Penklubu“ w Białogrodzie na Uniwersytecie, kiedy Ivo Vojnović, odznaczony przez J. K. M. Aleksandra I orderem św. Sawy I klasy, wygłosił na akademji poniższe przemówienie:

„Jakkolwiek skromność wzbraniała mi przyjąć tyle hołdów, to przecież nie mogę nie radować się, że nasz naród, święci tak spontanicznie i radośnie pisarza, czcząc równocześnie odrodzenie własne. Minęły lata, kiedy pieśń była przewodnikiem w walce. Jest dzisiaj panią dla siebie i dla niej się tylko pracuje, albowiem im wyższy jest tron, z którego rozdziela dary poznania i miłości, tym wyżej wzlatują realne dostojeństwa, na których opiera się szczęście i dobrobyt narodu“.

A. Opęchowski.

J. Słowacki w Italji.

Bibliografja.

Opracował Wojciech Meisels.

1. **Il Padre degli Appestati.** [Ojciec zadżumionych]. Traduzione di Umberto Norsa. „Lettere e Arti“, II, 46 z 6. XII. 1890. [Przekład prozą].

2. — Trad. di Paolo E. Pavolini. [Wiersze: 1—17, 49—50, 59—66, 74—80, 297—302, 365—374, 381—388, 429—430]. * Ob. poz. 3.

*) Roma, „Rivista di Cultura letteraria — scentifica — artistica, 1925 fasc. 9—10.

3. **Mindove,** re dei Lituani: quadro storico. **Il Padre degli Appestati:** poema. Traduzione letterale dall'originale polacco di Aglauro Ungherini. Torino — Roma, Roux e Viarengo, 1902, 16°, 102. [Przekład prozą].

4. **Anhelli.** Prima traduzione dall'originale polacco per cura di Paulo Emilio Pavolini. Lanciano, R. Carabba, 1919, 16°, 110. Collezione „Cultura dell' Anima“ [Z istniejących najpiękniejszy przekład na język obcy].

5. — Dalla traduzione dell' „Anhelli“ di Paolo Emilio Pavolini. V, XIII. *

6. **Jan Bielecki. La Genesi dello Spirito.** Traduzione dal polacco con proemio e note di A. Palmieri. Roma, A. R. E., 1925, 16°, 108. [Przekład poprzedza dłuższa rozprawa p. t. **„La poesia giovanile di Giulio Słowacki“].**

7. Contro il mio cor... [Sonet II. Do A(nieli) M(oszczeńskiej)] Trad. di M. A. Canini. W dziele: Morandi L. e Ciampoli D. — Poeti Stranieri. Milano — Roma — Napoli, Albrighi, Segati et C., (1903), 8°, str. 370—371.

8. **Dal Kordjan.** Atto III. Scena V. Traduzione di Clotilde Garosci.

9, **Dal „Re Spirito“.** [Król Duch]. Trad. di Olga Pinto. [Rapsod III, Pieśń III, zwr. 1—20. Przekład prozą]. *

10. **Ora di riflessione.** [Godzina myśli]. Trad. di Enrico Damiani. [Przekład wierszem białym].*

11. **L' inno alla liberta.** [Oda do wolności]. Trad. di Aurelio Palmieri. [Przekł. prozą]. *

12. **Dall' album di Sofia Bobrowna.** [W pamiętniku Zofji Bobrówny]. Trad. di Roberto Passaglia. *

13. **Cosi m' aita tu, Signore!** [Tak mi Boże dopomóż]. Trad. di Clotilde Garosci. [Przekład prozą]. *

14. **Canzone della fanciulla cosacca.** [Piosnka dziewczyny kozackiej]. Trad. di Aurelio Palmieri. [Dosłowny przekł. prozą]. *

15. **Roma. [Rzym].** Trad. di Roberto Passaglia. [Wolny przekład]. *

16. **Il Sonetto.** [Sonet — Już północ...] Trad. di Leonardo Kociemski e Guido Pinelli. *

17. **Son triste, o Dio.** [Hymn]. Trad. di Leonardo Kociemski e Guido Pinelli. [Wolny przekład]. *

18. **Sowinski sui bastioni di Wola.** [Sowiński w okopach Woli]. Trad. di Decio Senzasono. [Dosłowny przekład prozą]. *

19. **Cimino Nelly.** L' influenza di Dante nell' Anhelli. *

20. **Maver Giovanni.** Saggi critici su Juljusz Słowacki. Padova, A. Draghi, 1925, 16°, 62. [Ob. rec. w „Przegl. Współcz.“ 1926, Nr. 45: St. Windakiewicz, Włoski sławista o Słowackim; R. Pollak, Słowackiana].

21. **Nucci Nelly.** Beatrice Cenci in Słowacki. *

22. **Pavolini Paulo E.** Il Padre degli Appestati. *

23. **Pollak Roman.** Salle vette del romanticismo. *

24. **Raveggi Pierre.** Sur les poetes de l' Esprit et de la douleur. Roma, „Luce e Ombra“, 1. I. 1904.

25. **Skarbek Tluchowski Oscar.** Giulio Słowacki. *

26. **(Krasiński Zygmunt).** Giulio Słowacki. Ccritto di Sigismondo Krasiński. Trad. di Egisto De Andreis. — [Przekład „Kilku słów o Juljuszu Słowackim“ z „Tygodnika Literackiego“, Poznań, 1841].

Spór o powieść.

Na ziemi Wiktora Hugo, Stendhal'a, Balzac'a, Maupassant'a, Zoli, France'a, Romain Rolland'a, w ojczyźnie najdoskonalszej powieści, toczy się w ostatnich czasach zacięty spór o wartość — samej powieści.

Spór ten — jak każdy inny zresztą — wysunęło życie, aczkolwiek nie bezpośrednio. Wydawcy książek, którzy kategorje literackie wyznaczają miarą handlową, zbyt już snać długo nadużywali (stawiając odpowiednie żądania autorom!) ponętnej dla najliczniejszych kół czytelników etykiety wystawowej: musiało to w końcu wywołać właściwą reakcję. Pobudzona zaś przez moment zewnętrzny opozycja przesunęła w analizie wewnętrznej faktu zagadnienie praktyczne na grunt teoretycznych roztrząsań, których wynikiem powinno być nietylko oczyszczenie ustalonych wartości artystycznych i krytycznych, lecz również pogłębienie stosunku do nich.

Pierwszy zarzut przeciw powieści sformułował Edward Estaunié w sposób pewny i wyraźny: „Powieść — twierdzi on — jest przeznaczona dla publiczności bardzo szerokiej, która domaga się myśli łatwych, wykładu nie nadwerężającego jej słabych zdolności pojmowania, wiedzy, dostosowanej do jej ignoracji... Powieść odwołuje się do wyobraźni, która jest wspólna wszystkim, do namiętności, które wszyscy rozumieją... Jest to literatura wulgaryzacji, dzieło najmniejszego wysiłku“.

Biorąc za punkt wyjścia stanowisko Estaunié'go, Piotr Lafue poszedł znacznie dalej: starając się dać głębsze uzasadnienie skonstatowanej przez Estaunié'go prawdy, Lafue dochodzi do wniosku, że forma powieści jest w absolutnej niezgodzie ze sztuką, i podkreśla konieczność nowych postulatów dla realizacyj artystycznych: wyzwolenia się z pęt faktów objektywnych, wysunięcia na plan pierwszy myśli autora i jego koncepcji.

Tym poglądom w ich negacji ostro przeciwstawia się Jan Pierrefeu. Opierając się na zdaniu Bourget'a, dla którego powieść była najwyższą z form literackich, i na jej ujęciu w twórczości Balzac'a, Pierrefeu zarzut Lafue'a podnosi, jako potwierdzenie pełni praw powieści. Powieść — według niego — jest adekwacją życia; może ona zawrzeć treść najbogatszą i najobszerniejszą, ponieważ zlewa się z samem życiem. Stawiać myśl autora — jak to zaleca Lafue — przed akcją, czyli przed rzeczywistością, która w akcji się przejawia, znaczy — schlebiać leniwemu intelektualizmowi, nie będąc przytem w zgodzie z odkryciami nauki. Pierrefeu mocno podejrzewa przeciwników rzeczywistości objektywnej w powieści, rozdawców li-tylko własnej inteligencji i piękności duszy, o brak umiejętności artystycznego opanowania życia. Obawy wulgaryzacji nie zna, prawdziwy powieściopisarz: czerpiąc z wydarzeń zewnętrznych, zatrzymuje on je w swej wizji artystycznej — przekształca rzeczywistość swym genjuszem. Stąd niepowtarzalność typów i sytuacji w powieści, pomimo ich możliwych podobieństw.

Walka o powieść w krytyce francuskiej jest zjawiskiem niezmiernie charakterystycznem dla współczesnej sztuki: przebija się w niej nieprzeparta, mocna żądza chwili całkowitego zerwania ze staremi formami.... i niemożność prześcignięcia ich — wewnętrzne zmaganie się okresu przejściowego.

Marja Przedborska.

Eugeniusz Bautro.

O nowy kierunek ideowy w naszej literaturze.

Z powodu opinji prof. Jaworskiego o „Zarazie w Grenadzie“ j. N. Millera.

(Dokończenie).

Uniwersalizm głosi, że całość — to bynajmniej nie luźny, zewnętrzny, przypadkowy tylko sam porządek. Przy całości elementy, w jej skład wchodzące, są zależne i modyfikowane tak od siebie względnie przez siebie nawzajem, jakoteż od ogólnej formy całości. Części całości są koniecznem uwarunkowaniem całości a całość znów tem samem jest dla części. Ich byt t. j. istnienie, trwanie, zmiany itp. możliwe są jeno w tem złączeniu i poza tem wszystko to pozbawione byłoby ratio essendi. Dobrze tę myśl ilustruje Plato na wyrazie. Otóż słowo — to bynajmniej nie prosty sobie kompleks czyli suma liter czy dźwięków, ale przeciwnie, w niem mamy do czynienia z osobnym a jednolitym i całościowym tworem, który przerasta swe części składowe. To samo, co Plato zauważa w odniesieniu do mowy, dostrzegamy również i w muzyce. Np. akord — to totalność, albowiem słuchając go, uzyskujemy ogólną afekcję, która jest zupełnie czemś innem, aniżeli suma poszczególnych afekcyj. To zjawisko jest tak uderzające już prima facie, że np. pitagorejczycy na oznaczenie harmonji, jedności, całości we wszechświecie używali wyrażenia: muzyka, harmonja sfer.

Uniwersalizm stwierdza więc ogólny totalizm, w szczególności zaś podkreśla on społeczno-polityczny. Jednakowoż nie zamyka się on ani w obrębie tylko samego humanizmu ,lecz wiąże ludzi z Bogiem, jako stwórcą i celem universum, nie zacieśnia się w racjonalistycznych formułkach i dążeniach, ale też wysuwa naprzód pierwiastki irracjonalne, w szczególności uczucie miłości, które urasta u niego do potęgi wszechuczucia.

Zdobywszy takie podstawy i uzasadnienie, uniwersalizm zwraca się i do człowieka jako członka społeczeństwa. Wskutek tego uniwersalizm (praktyczny) — to zwłaszcza filozofja stosunku jednostki do społeczności, państwa, kościoła, rodziny itp. związków naturalnych i koniecznych czy sztucznych a dobrowolnych. Jest to więc mówienie o sferze powinności (Solden) czy znaczenia (Geltung). Otóż stara się on na podstawie i w myśl stwierdzenia, że społeczeństwo itd. — to zwarta jednia i calizna, wysnuć i uzasadnić szereg wniosków pro futuro, a więc dać nam niejako kodeks postępowań, dać zarys instytucyj itp. Subjektywnie rzecz biorąc, uniwersalizm — to nasze takie nastawienie w kierunku uwzględnienia postulatów uniwersalizmu. Nie jest to prawo natury itd., albowiem nie snuje się tu wskazań wiecznych i niezmiennych. Uniwersalizm — to bynajmniej nie tego rodzaju idealizm, lecz zajmowanie się konkretnemi, w czasie i przestrzeni, zjawiskami, dążeniami itd. i rozpatrywaniem ich z punktu widzenia ogółu, lecz zarazem to jeszcze nie kollektywizm czy komunizm, gdyż jednostka nie zanika w morzu całościowem. Dalej, uwzględnia się tu irracjonalne pierwiastki tj. religję, miłość, które każą nam nawet i wówczas ewentualnie inaczej myśleć czy działać, gdy całość tj. społeczeństwo czy państwo itp. żądają czegoś, co sprzeciwia się, gdy wzniesiemy się na najwyższy szczebel całościowego spojrzenia i istnienia tj. gdy pojmiemy wszechświat jako całość z Bogiem, w Bogu, przez Boga i dla Boga.

Ustaliwszy w ten sposób zasadnicze rysy istoty uniwersalizmu, z kolei rzeczy przypatrzymy się temu, co i jak p. Miller rozumie przez uniwersalizm, i szczegółowiej to omówimy.

P. Miller nie jest uniwersalistą, jak zauważa prof. Jaworski. Przedewszystkiem nie jest nim dlatego, że brak w jego koncepcji tego momentu, który w uniwersalizmie jest istotny: religji i uczucia miłości z niej płynącego i nią ugruntowanego. P. Miller — to zwolennik i głosiciel prometeuszowstwa, to ideolog zasad Darwina w zastosowaniu do życia, to przejaw i forma poglądów socjalistycznych, jakkolwiek nie brak u niego idealistycznego polotu. Stąd widzimy u niego tak silne podkreślanie aktywizmu, też w sensie i w typie amerykańskim. Wobec takiego braku szczytowego wiązania p Miller jest przez pół uniwersalistą. Różni się on od romantyków tem jeno, że gdy tamci „cierpią za miljony“, on chce „działać za miljony“ względnie „z miljonami“. Atoli wszelkie „za“ czy „z“ wykluczają uniwersalizm.

P. Miller nie jest dalej uniwersalistą z tego powodu, że jego stosunek do społeczeństwa — to raczej jeno tęsknota, ufundowana na appetitus societatis. Stąd też jego społeczeństwo — to bynajmniej nie istotny i wewnętrzny zestrój, harmonja myśli, uczucia, woli (czynu), ale — to tylko luźny związek, to kooperacja i koordynacja dla osiągnięcia bliższych a indywidualistycznych celów. To nie średniowieczne corpus Christi mysticum, to nie ówczesne totum mysticum, ale gromada ludzi zjednoczona ciężką walką o byt.

Uniwersalizm bowiem nie jest dalej „tęsknotą człowieka do człowieka“ (str. 23), nie jest „zgodnością przejawów duszy indywidualnej z duszą grupy“ (str. 21), nie jest to „hołdowanie konieczności, typowości, jednoznaczności (str. 24), nie jest to „oddanie ogólno-ludzkich przeżyć i myśli“ (str. 24); to nie „akt zbiorowego chcenia“ (str. 25), to nie „tęsknota twórcza do współtworzenia i współpracy“ (str. 26) czy tzw. „tworzenie wspólnej świadomości“ (str. 26). Uniwersalizm nie polega również na „sharmonizowaniu się z przeżyciem społecznem“, na „spotęgowaniu rytmu swej duszy echowym odgłosem współdźwięku, zbudzonego w zborowości ludzkiej“ (str. 28). Nie nazwiemy też uniwersalizmem. „uspołecznienie form sztuki i zuniwersalizowanie treści“ (str. 31), ani też „zaktywizowanie psychiki narodowej“ (ibid). Z tych samych powodów nie będzie uniwersalizmem: „społeczność form życia“ ni „triumf organizacji, związków i międzynarodowej reprezentacji świata pracującego“ (str. 33) czy „poezja pracy“ (str. 36) „choreja pracy“ (ibid). (C. d. n.)

Powieść o niecodziennej codzienności.

Tadeusz Łopalewski: Podwójny cień, powieść. Warszawa 1927. Nakład księg. F. Hoesicka.

Rzadko zdarza się w dzisiejszej literaturze napotkać tak udatny debjut powieściowy, jak leżący przedemną „Podwójny cień“ Łopalewskiego. Powieść ta ma tyle niepowszednich zalet i nasuwa tyle ciekawych refleksyj, że doprawdy warta jest trochę więcej, niż parę zdań stereotypowej recenzyjnej notatki. Już to wogóle nasza „krytyka“ ma skłonność do powierzchownego, migawkowego załatwiania się z „pierwszemi książkami“ młodych autorów, tak jakby to właśnie wkraczanie na arenę literacką nowych sił, nowych możliwości, nowych wartości, nie było dla krytyka ewenementem najbardziej godnym uwagi. Wogóle tylu się teraz pojawia u nas świeżych, początkujących dopiero autorów, tyle nazwisk wybłyskuje na witrynach księgarskich, że dałoby się, rozglądnąwszy się uważnie wśród tych różnorodnych, choćby mglisto zarysowanych typów wysnuć wiele znamiennych spostrzeżeń i postawić ciekawe djagnozy o narastającem nowem pokoleniu literackiem.

Książka Łopalewskiego świadczy o dużych etapach przebytej już drogi i o znacznym stopniu krystalizacji jego talentu. Nie ma się tu wcale do czynienia z elementem chaotycznym, nieskoordynowanym, którego ocena wchodziłaby przedewszystkiem w szufladkę wpływologji. Materjał, dostarczony mu przez życie, ten cały osad wrażeń i spostrzeżeń, niezbędny śpichlerz powieściopisarza preparuje i przerabia po swojemu.

„Podwójny cień“ wskazuje na to aż nadto wyraźnie. Sam prolog, mroczny i trochę pretensjonalny nastraja zrazu nieufnie, ale już w pierwszym rozdziale autor odnajduje siebie. I tak jak początkowo zdawało się, że będzie to jedna z wielu książek na temat rewolucji rosyjskiej — który to temat już zdążył stać się oklepanym — jedna z wielu powieści (a więc powtórka) na tle osobistych przeżyć, tak w miarę czytania, spostrzega się, że autor wiedziony instynktem artystycznym ominął banalność i linję najmniejszego oporu. Rewolucja i to, co w niej przeżył, dostarczyło mu tylko materjału, który umiał tak przefiltrować, tak przekształcić i tak przetransponować na irracjonalny język poetycki, że wszedł on organicznie w skład powieści, jako jednolitego tworu literackiego. Być może, że wiele z tego, co się tam dzieje, autor sam przeżył, być może że znał wmieszane w fabułę postaci, w każdym razie jednak umiał to wszystko tak naświetlić i tak upozować, że usunął z widowni wszelką banalność, szarość i niekonsekwencję, towarzyszącą zdarzeniom codziennym. Rewolucja nie jest tu tłem traktowanem anegdotycznie; jest wirem ciemnym i groźnym, który się kłębi pod stopami i wichrem z zewnątrz, który, jak siła fatalna potrąca i obija o siebie osoby działające.

Z czarnej toni tej niecodziennej codzienności rewolucyjnej, jak krzycząca głowa z grzęzawiska wydobywa się pierwiastek irracjonalny, zogniskowany w mglistym splocie postaci Karnickiego i Eudoksji, jakby symbol czegoś wyższego i nieznanego, czegoś za kulisami rzeczywistości, wytęsknionego przez unurzane w niej dusze.

Uwydatnione przez krzywe reflektory wyobraźni majaczą w powieści Łopalewskiego tu i ówdzie zdeformowane kształty groteski (patrz np. rozdział: „tonący topielca się chwyta“, lub „Ta której niema“). Poczucie umyślnej niejasności i świadomego splątania akcji budzi wprowadzenie przez autora samego siebie w książkę, jako rozkochanego w siostrze jej bohatera, oraz wieloplanowość akcji, która toczy się nieregularnie i w rozmaitych kierunkach w ślad za losami rozmaitych równie mocno podkreślonych postaci.

Zasoby językowe Łopalewskiego obfite i nieprzeciętne. Żywa wyobraźnia i bujny zmysł poetycki, dają stylowi jego jędrność i obrazowość. Doskonały jest opis tańca w spelunce w rozdziale p. t. „Fang, czyli o konspiracji“. Równie dobry ustęp z rozstrzelaniem Karnickiego.

J. B.

Romans na wsi.

Zdzisław Kleszczyński: Romans na wsi, powieść. Nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa.

Jest to książka, otwierająca pole do dyskusji, pomimo, a może właśnie z powodu swojej prostoduszności. Na marginesie jej da się powiedzieć więcej niż o niej samej. Dziwna rzecz, jak nam ludziom XX-go w. każą się pobłażliwie i łagodnie uśmiechać ci powieściowi ziemianie, ci naiwni gospodarze, ci przedwojenni epigoni, zabłąkani w zamęt radja, stugębnej prasy i raidów aeroplanowych. Wydaje się aż nieprawdopodobnym, aż zabawnym ten pastelowy spokój wsi i dworu, to leniwe roślinne życie, po jakiem wkrótce może nie będzie już śladu na ziemi. Ten dwór i ci jego mieszkańcy, te dożynki i te małe zdarzenia, wszystko to wydaje się jakąś zagubioną, zapomnianą wyspą i to w dodatku pod kloszem, który zupełnie głuszy szum rozhukanego Oceanu współczesności. Wielki nurt życia nie wdziera się tam wcale. Kółeczko, w którem się „dzieje“ akcja powieści, jest takie maleńkie, takie zamknięte, takie oddalone od wszystkiego, że aż nieważne. Mimo powagi dojrzewającej przyrody i dojrzewającego macierzyństwa wszystko tu jakieś niepozorne i nieznaczne, te ich strapienia i tęsknoty, te ich waśnie i zgody, te ich dobre humory i pogodne uśmiechy szczęścia. Egoistyczna gromadka ,która zdaje się mniemać, że poza nią, poza obrębem jej gospodarstwa nic niema, nic się nie dzieje.

Nie jest to zresztą zarzut pod adresem autora. Cóż on winien, że tacy są ludzie, że tak im swojsko, banalnie, przyjemnie. Że tak poprzestają na małem. Cóż winna klisza, że odbija obrazy, na które nastawi ją aparat fotograficzny. Odfotografowano po mistrzowsku ten sympatyczny anachronizm. Opisano ślicznie i wytrawnie i z prawdziwym talentem epickim. Jednego tylko brak, czego mimowoli szuka się w dobrej, współczesnej powieści t. j. problemu. Chciałoby się zaprzątnąć czemś także umysł, a nietylko oczy i serce. Powieść ta zamało pobudza nawet wyobraźnię. Wszystkie te małostki są takie znane, kochane, dopowiedziane do końca. Tak jak stara, nieskomplikowana melodja, zagrana na szpinecie; nie trzeba się wytężać, aby ją zrozumieć. Dlatego też „Romans na wsi“ będzie się podobał czytelnikom — i musiał się podobać wydawcy. Takie rzeczy idą.

Tyle na marginesie. Samej powieści nie można nic zarzucić. Doskonały język znamionuje dojrzałego, świadomego swoich zasobów artystycznych autora. Każde słowo jest tam na swojem miejscu. każde zdanie odrobione z rzetelnego kruszcu. Prostota — bodaj czy jej nawet nie zawiele — odmierza i odważa na szalach umiaru każdą przenośnię, każdy „szlagier“ stylu.

Jednem słowem, dobra to książka i warto ją przeczytać.

J. B.

Z poetyckiego kalejdoskopu.

Mieczysław Jagoszewski: Serce na masce. Kraków 1926, księg. S. A. Krzyżanowskiego.

Trudno przewidzieć doprawdy, jakim będzie dalszy rozwój debjutującego w powyższym zbiorku poety. Trudno wyczuć w powodzi najróżnorodniejszych cech jego wiersza, rozmiar, skalę i właściwe ukształtowanie talentu. Narazie jest to mgławica, w której snuje się obok mnóstwa pretensjonalności i pustego baroku wiele niedojrzałości i niedołęstwa. Jest tam zato wiele łatwości wierszowania i wiele rozkołysanego, wrodzonego rytmu. Jest wiele zadatków na dobrego poetę, jeżeli strząśnie ze siebie ten balast banalnej gadatliwości i przesadnego erotyzmu, za którym dostrzega się nawet cień młodzieńczej pornografji. W zbiorku rzuca się w oczy pewna monotonja. Wiersze są bardzo podobne do siebie, choć kilka z nich odbiega od szablonu przebłyskami szczerego temperamentu poetyckiego i giętkiego, obrazowego stylu.

Stefan Godlewski: Grabinka. Warszawa 1927, nakł. księg. F. Hoesicka.

Jest to miła książka... pomimo wielu nasuwających się zastrzeżeń. Plącze się w niej pierwiastek narracyjny i pewna nonszalancja stylu z nadmiernem, aż manierycznem zamiłowaniem do mitologji i rokoka i z pedantycznym, suchym klasycyzmem wiersza. Te specyficzne, wybijające się na pierwszy plan właściwości czynią „Grabinkę“ książką dość oryginalną, jednakże za mało tego, aby uczynić ją wysokowartościową.

Proza Godlewskiego stanowczo lepsza od poezji. Sądzę, że wkrótce już przerzuci się on całkim na jej stronę, rezygnując z wierszy. Te ostatnie, ukute w jednostajną formę sonetów, wzorowane bez skrupułów na Herediji, (którego przekłady, tak jakby dla podkreślenia tego zamieszcza autor w „Grabince“) nie fascynują niczem. Są równe, chłodne, wymuskane o dobrze odliczonym rytmie i klasycznym rymie nie splamionym nigdzie herezją asonansu. Najsłabszy cykl drugi, zawierający sonety wojenne; wojna w nich cukierkowa, nieruchoma, jak dawno malowane oleodruki. Zato w prozie wiele możliwości, wiele soczystych zapowiedzi. Pierwsza nowela „Grabinka“, znacznie lepsza od umieszczonej na końcu zbiorku. Jest w niej zacięcie i zręczność stylu.

Z całej książki wydobywa się perfumowana woń madrygału i skandowany heksametr klasycznej pedanterji.

J. B.

Elita bolszewicka.

Konstanty Srokowski: Elita bolszewicka, Studjum socjologiczne. Kraków 1927. Nakł. Krakowskiej Spółki Wydawniczej.

W „Gazecie Literackiej" nieraz podkreślaliśmy, że monizm materjalistyczny jest taką samą dobrą metafizyką, jak każda inna. Rzecz ta jest zresztą stwierdzona już od czasów Langego „Historji materjalizmu". Nic więc dziwnego, że może istnieć droga wiodąca całkiem prosto od metody naukowego myślenia do religji. Wszelka nasza działalność, wszelki aktywizm, musi się opierać, na skutek ograniczenia naszego zasobu doświadczeń, na fikcjach, które tę ogromną lukę w naszem doświadczeniu zapełniają i w ten sposób umożliwiają nam działanie. Ongiś Galileusz przerzucił na świat martwej materji to, co stanowi właściwość i własność człowieka: horror vacui — wstręt do próżni, wstręt i strach przed nieumeblowaniem każdego zaułka wyobrażalnej przestrzeni naszemi pojęciami. Jeśli tak się nie stanie, mamy jakiś atawistyczny lęk przed ciosem z tyłu. Próżnia musi być wypełniona i to konstrukcją tem silniejszą, im większy jest zakres i rozmach działalności człowieka. Tędy właśnie wiedzie droga od metody ujmowania zjawisk do dogmatu, do religji. To samo stało się z teorją materjalizmu historycznego, która w głowach ortodoksyjnych marksistów dąży do przemiany w religję.

Niedawno ukazała się w księgarniach „Elita bolszewicka", studjum socjologiczne, znakomitego publicysty Konstantego Srokowskiego, który w rozdziale p. t. „Umysłowość bolszewicka" stosuje powyżej scharakteryzowane spojrzenie i do stosunków w komunistycznej partji Z. S. S. R

„W samowiedzy bolszewickiej — pisze autor — w dziwny sposób zmieszane są ze sobą elementy wiedzy i wiary. Stany świadomości empiryczno-refleksyjnej, krytycznej t. zw. „naukowej" sąsiadują bezpośrednio i mieszają się ze stanami świadomości intuitywnej, fideistycznej, religijnej, tak, że wiedza nabiera cech wiary, staje się dogmatyczną, wiara zaś wchodzi w dziwne kombinacje z krytycyzmem, nabiera cech wiedzy. Dogmatyzm i krytycyzm mieszają się w umysłowości bolszewickiej w sposób swoisty, dając nowy typ intelektualny, w którym niezwykła przenikliwość występuje obok oczywistego przytępienia, krańcowy realizm i konkretyzm w ujmowaniu jednych zjawisk obok zadziwiającego iluzjonizmu, absolutny sceptycyzm obok fideizmu, zdolnego konkretyzować i antropomorfizować w najgrubszy sposób różne pomocnicze abstrakcje i zwykłe abrewjatury o treści bardzo płynnej i niepewnej". Dowodzi tego bolszewickie dogmatyczne pojmowanie takich określeń jak „klasa społeczna" lub „proces historyczny". W pojęciu bolszewika „klasa społeczna" nietylko pragnie, dąży, walczy, cierpi tj. doznaje pewnych uczuć, i wykonuje pewne ruchy i prace, ale ona także myśli, analizuje, syntetyzuje, ocenia, systematyzuje, jednem słowem występuje nietylko jako istota obdarzona wolą i zdolnością ujawniania jej przez skoordynowane ruchy, ale także rozumem, a w pewnych wypadkach n. p. rewolucji, zgoła cudowną nieomylnością". Podobnie ma się sprawa i z pojęciem „procesu historycznego". „Wyobrażenie to, zaczerpnięte z chemji czy biologji i przeniesione do interpretacji zjawisk historycznych, tylko na drodze odległej zresztą analogji, mające oznaczać związek przyczynowy zjawisk historycznych w umyśle bolszewika staje się jedną z głównych kategoryj myślenia. Pojęciem tego procesu operuje on z taką pewnością siebie, jak gdyby znał we wszystkich szczegółach jego procedurę, jak gdyby zamiast kilku mglistych uogólnień dysponował tu zamkniętym zapasem konkretnych, dowolnie sprawdzalnych i jednoznacznych pojęć i określeń".

„Charakterystycznem dalej dla umysłowości bolszewickiej jest pojmowanie „nauki" oczywiście wyłącznie przyrodniczej i technicznej, którą bolszewik skłonny jest wręcz deifikować, przypisując jej cudowne własności, pokładając w niej wszystkie swoje nadzieje, uważając ją za jakąś wartość absolutną i za instancję najwyższą, jednem słowem pojmując naukę w sposób możliwie najbardziej — nienaukowy."

„To też myślenie bolszewickie — stwierdza autor — mimo pozorów chłodnej analizy i bezwzględnej rzeczowości, jest w gruncie rzeczy wybitnie emocjonalne tj. czerpie swe główne przesłanki z uczuciowego, a nie wyłącznie poznawczego stosunku do zjawisk. Jest to myślenie właściwe nie filozofom i nie uczonym, ale właśnie działaczom społecznym, którego istotą są zawsze wielkie i wyraźne petitiones principiorum czyli wkładanie do przesłanek tego, co się chce znaleźć później we wniosku".

Każdy, kto miał sposobność dyskutować kiedykolwiek z ortodoksyjnym marksistą, musi przyznać słuszność tej analizie. Nic dziwnego, że taka umysłowość jest w gruncie rzeczy umysłowością religijną (i właśnie „religiancką") i stąd pochodzi, że np. Trocki nazwał partję komunistyczną „zakonem komunistycznym" a Łunaczarskij zapowiada nadejście „czasów religijnego realizmu".

Elita bolszewicka" jest jedną z tych książek, które powinny się znaleźć w bibljotece każdego myślącego i kulturalnego człowieka. Jako studjum socjologiczne, mające za przedmiot współczesne nam wydarzenia, według których pragniemy wróżyć o przyszłości, książka ta odznacza się przedewszystkiem jedną rzeczą zgodną z zamiarami autora: oto zdziera bielmo utartych i płytkich pojęć o bolszewiźmie z oczu tych, którzy o bolszewiźmie wyrabiali sobie zdanie na podstawie bezpretensjonalnych informacyj prasowych. „Elita bolszewicka" — powtarzamy — jest książką, którą nie tylko warto, ale trzeba przeczytać!

A. P.

Ludzkie oblicze Wieszcza.

Sto lat niespełna mija od chwili, gdy Juljusz Słowacki opuszczał zmartwychpowstającą Warszawę; wyjeżdżał z dzwoniącej gwarem wojennego życia stolicy na ziemię, która miała stać się ziemią wygnania, obozem rycerzy słowa i aniołów wolności. Nie przeczuwał, nie mógł przeczuwać takiego powrotu, on, który wypowiedział te smutne, pełne przejmującej pokory słowa: „I nie pamiętaj o mnie w tej godzinie, gdy Cię Bóg wielkim darem uweseli".

My, którym dane jest zaprzeczyć tym, jakże okrutnym słowom, my, którym wolno nareszcie spłacić nieprzepłacony dług wdzięczności, poecie, najnieszczęśliwszemu z poetów, niewysłuchanemu przez nikogo z tych, których wzruszać pragnął najpiękniejszym układem słów, na jakie stać bogatą mowę polską, jakże szczęśliwi jesteśmy, że nam, naszemu pokoleniu przypadł zaszczyt wyrównania nieprzewidzianego nigdy rachunku dziejów.

W tej nieporównanej godzinie, w której zstąpi pośród nas, realnie, chcemy zapomnieć na chwilę o nadludzkiej mocy, którą piorunują Jego słowa, trwalsze niż życie pokoleń, mocniejsze niż żelazne dzieła ręki ludzkiej i ręki ludzkiej zniszczenie, słowa żywe jak sama natura, jak ona elementarne, jak ona odradzające się wiecznie w ustach i w oczach pokoleń.

Chcemy zobaczyć Go, nie duchem, nie krzakiem gorejącym, nie wieżą strzelistą, ale człowiekiem, co żył, oddychał, cierpiał i płakał za nas, nie z nami, w czasie, po którym nic już nie zostało, w przestrzeni, którą pokonały rozliczne, cudowne dzieła pracy i myśli ludzkiej. —

Z głowy tej, jakże doskonałej, z twarzy wymownej, z orjentalnej skroni, z nozdrzy energicznie rozdętych, z przejmującego spojrzenia pozostała ta oto czaszka sucha i zimna, ten pukiel włosów, niegdyś żywych, spłowiały sztandar utraconej na zawsze bujności, żałosny ślad cielesnego na ziemi istnienia.

Mocą czarownej władzy przypomnienia znów Go widzimy nad oceanem zielonym, na skałach Pornicu dumającego nad genezyjską pracą morskiego dna i twórców tej głębi przejrzystej. Widzimy Go po latach wygnania wyznającego matce to wszystko, czego w najświetniejszej poezji wyznać nie można, widzimy Go, ostatnim oddechem więdnących boleśnie płuc podnoszącego chorągiew poznańskiego powstania, widzimy Go takim, jakim widział Go Norwid na ostatniej z dogorywającym poetą, przerywanej kaszlem, rozmowie.

Temu, któremu zawsze odmawiano człowieczeństwa z krwi i kości, temu, którego młodość i serce żywe pamięć potomnych zakuła w chłodny sarkofag z marmuru, spójrzmy nareszcie w ludzkie, wymowne, gorące oczy. W tych oto powracających do ojczyzny szczątkach czcimy nietylko wspaniałość poetyckiego wyrazu, siłę natchnienia, potęgę myśli, ale i męstwo wytrwania wśród bezprzykładnej obojętności i w opuszczeniu, czcimy tragedję samotnego człowieka, która jest zarazem tragedją każdej, o nowe wartości ducha i formy walczącej poezji.

Mieczysław Jastrum.

Szkic syntetyczny o Słowackim.

Michał Janik: Juljusz Słowacki 1809-1849. Próba syntezy. Kraków, 1927. Nakładem Krakowskiej Spółki Wydawniczej.

Przedruk dwukrotnie w r. 1909 wydanego studjum Janika, dokonany przez Krakowską Spółkę Wydawniczą w roku złożenia prochów Wieszcza na Wawelu, jest dziełem pożytecznem i potrzebnem. Wprawdzie autor sam nazwał swą pracę tylko „próbą syntezy" twórczości Słowackiego, a wartość prac pomniejszych tego rodzaju przyćmioną została wydaniem (zapewne już w dniach najbliższych kompletnem) pomnikowego dzieła Kleinera, niemniej omawiany właśnie szkic zachował swe znaczenie, jako zwięzłe, staranne i jak na poruszane problemy właśnie stosunkowo jasne i zsumowanie najważniejszych momentów z życia i twórczości poety.

Całość ujętą w cztery, luźno z sobą związane rozdziały, podzieliłby można ze względu na opracowane tematy na dwa uwarstwowienia. Rozdział pierwszy i drugi („Śladami życia" i „Rozwój twórczości" utrzymane są w tonie tak popularnym, że możnaby je polecać z korzyścią młodzieży szkolnej. Z życiorysu podkreślono rozmyślnie momenty ważne, które zaznaczyły się mocnem echem w twórczości wieszcza, albo dla jego psychiki stanowiły punkt zwrotny. Element autobiograficzny, tak silnie uwydatniający się w poezjach Słowackiego, szczególnie w pierwszej epoce jego twórczości, został podkreślony przez wprowadzenie w tekst licznych, szczęśliwie dobranych cytatów; szkoda, że pominięto niemal zupełnie „Listy do matki", w których mimo formy prozaicznej, mieszczą się perły poetyckiego natchnienia i całe kopalnie żywych, bezpośrednich reakcyj wrażeniowych na najistotniejsze zewnętrzne i wewnętrzne przeżycia. Styl gładki i potoczysty wpada chwilami w patos, zrozumiały w utworze okolicznościowym, rażący wszak że w dziele o charakterze naukowym, za jakie studjum Janika uznać musimy.

W „Rozwoju twórczości" Słowackiego omawia autor szereg istotnych problemów, element społeczny w dziełach wieszcza, jego stosunek do Towiańskiego, wirtuozowstwo formy, jej muzykalność, kolorystykę i bogactwo nastrojów. Do najświetniejszych miejsc należy porównanie galerji postaci stworzonych przez Słowackiego i Mickiewicza. Element polemiczny zaznacza się w zbijaniu oskarżenia wieszcza o dumę. Szeroko zakreślone odpieranie zarzutu „bluszczowatości" Słowackiego przedstawia dla nas dziś już tylko wartość historyczną, gdyż sama kwestja powiększyła szereg zdecydowanie fałszywych opinji, jakiemi wroga Słowackiemu krytyka literacka tak długo twórczość jego oplatała.

W rozdziale III. i IV. swego szkicu („Nauka o Duchu" i „Nauka o Polsce") porusza autor kwestje trudniejsze, usiłując podać syntezę filozofji autora „Króla Ducha". Zadanie to trudne, zważywszy rozpiętość wzlotów mistycznych mistrza i ich fragmentaryczność. Tem milej uderza nas u p. Janika jasność wykładu i logiczne powiązanie jego części. Za punkt wyjścia bierze autor słusznie tylekroć w różnych warjantach powtarzaną przez Słowackiego podstawę idealistycznego monizmu, wyrażoną najpełniej u końca „Genezis z Ducha". —

„Wszystko przez Ducha i dla Ducha stworzone jest, a nic dla cielesnego celu nie istnieje".

Z tej zasady wywodzi ewolucjonizm Słowackiego jego cechy progresywistyczne i kwestję istnienia człowieka oraz jego „celów finalnych", łącznie z zagadnieniem śmierci, metampsychozy i grzechu pierworodnego. Następnie rzuca pomost między życiem jednostki a życiem społecznem i tłumaczy koncepcję „Króla Ducha" stanowisko Słowackiego wobec Kościoła i jego „republikanizm z Ducha". Po przeczytaniu tego rozdziału odnosimy wrażenie, że zbliża się on najbardziej do ideału syntezy, którego „próbę" tylko chciał nam dać autor.

Zapatrywania swe na przeszłość i przyszłość Polski tworzył Słowacki w ciągłej nieledwie walce z koncepcjami Mickiewicza; poprzez patos „Ody do wolności", wołanie: „Polska Winkelridem narodów", ofiarę spokojną Anhellego, prowadzi nas autor w ciągłej paraleli z rozwojem zapatrywań Mickiewicza i Krasińskiego, aż do epoki mistycznej. Tu zaznacza, że Słowacki sprawę narodową rozwiązywał w łączności ze sprawą społeczną i przeprowadza analizę elementów wolności ducha ludzkiego jednostkowego oraz analizę pojęcia „konfederacji". W omawianiu kwestyj społecznych lekkiego podkreślenia doznaje sprawa ludu i ludowości poety.

W rzeczywistości zdania takie, jak: „Ubrany grubą siermięgą, bo to strój przyszłych żołnierzy, co Polskę wywalczą...." — to słowa naprawdę wieszcze, które podkreślić zupełnie się godziło.

Reasumując zaznaczyć muszę, że studjum p. Janika może odegrać w miesiącach najbliższych, kiedy to zainteresowanie Słowackim w całym kraju wzrośnie, pewną rolę w rozpowszechnieniu wiadomości o wielkim wieszczu i w rozbudzeniu zamiłowania do jego lektury.

Dr. J. F.

Kronika.

Czwarty tom monografji o Juljuszu Słowackim, J. Kleinera (w dwu częściach) ukazał się w dniach ostatnich na półkach księgarskich.

Tom pism Żeromskiego nieobjętych wydaniami książkowemi, ukaże się nakładem Tow. Wydawniczego w Warszawie pod redakcją Wacława Borowego. Obejmować będzie artykuły, przedmowy, odezwy i wszystkie przyczynki pióra Żeromskiego. Uzupełniać go będzie pełna bibljografja, oraz literatura krytyczna i spis przekładów na języki obce.

Ostatni Wajdelota. Pod powyższym tytułem ukazała się nakładem Sekcji Bibljofilów Koła Polonistów S. U. W. broszura prof. Józefa Ujejskiego, rzecz pomyślana jako przemówienie na Akademji Żałobnej ku czci Stefana Żeromskiego, urządzonej przez Senat Uniwersytetu Warsz. a drukowana w nr. 5 i 6 „Gazety Literackiej" z r. 1926.

Drugie wydanie „Hymnów" J. Wittlina, ukazało się nakładem F. Hoesicka, Warszawa.

„Przewodnik po Pieninach i Szczawnicy", którego autorami są Alha, Marczak i Wiktor, ukaże się w dniach najbliższych na półkach księgarskich. Obszerniejsze omówienie tego pożytecznego, a z nazwisk autorów sądząc, nieprzeciętnego wydawnictwa zamieścimy w jednym z następnych numerów naszego pisma.

„Querschnitt" z miesiąca maja br. zawiera dwa bezpośrednio po sobie następujące artykuły o Polsce. Artykuł p. Worgitzy'ego zionie jadem na wszystko, co polskie, opierając się na znanym pamflecie francuskim Etchegoyen'a, a po nim zabiera głos — Karol Irzykowski (Die geistige Zage Polens); objektywny i poważny ton jego rozważań stanowi ciekawy kontrast z poprzednią elukubracją. Przypuszczamy, że gdyby Irzykowski wiedział, w jakiem towarzystwie znajdzie się na łamach niemieckiego pisma, zastanowiłby się dobrze, czy umieścić w niem swoją, wspaniałą niemczyzną napisaną pracę.

„La nouvelle revue française" z dn. 1 czerwca br. zamieszcza artykuły Montherlanta i Jana Cocteau.

„La muse française" poświęca swój numer z dnia 10 VI. br. w całości Karolowi Maurras. Poza utworami autora dotąd niewydanemi w skład numeru wchodzą liczne artykuły krytyczne, interview (Rene Lalou) i t. d.

Editions du Capitole zapowiadają na miesiąc lipiec ukazanie się tomu ze zbioru „Les contemporains", poświęconego Andrzejowi Gide. Dzieło zawierające utwory niewydane Gide'a i liczne szkice literackie o nim, ozdobione oryginalnemi akwafortami mieć będzie charakter luksusowy, bibljofilski i wydane będzie zaledwie w 500 egzemplarzach, które znajdują się już w subskrypcji.

„Les nouvelles litteraires" z 11 VI. br. zawiera dłuższy artykuł o Słowackim pióra prof. Folkierskiego. Autor kreśli w sposób syntetyczny twórczość wieszcza, jej wartość nieprzedawnioną i fundamentalne znaczenie dla współczesnego pokolenia poetów i pisarzy polskich, nawiązując do uroczystości przeniesienia jego zwłok z Francji do Polski. Wspaniała paralela z Racinem ułatwi zapewne czytelnikowi francuskiemu zrozumienie pietyzmu, z jakim odnosić się musimy do twórczości autora „Króla Ducha". Numer zawiera również anonimowy przekład „Hymnu o zachodzie słońca".

L. Pirandello wydał nakładem Remporad'a komedję p. t. „L'amica delle mogli".

Z beletrystyki włoskiej: 1) S. Gotta „Il Nome tuo", powieść Milano, Baldoni e Castoldi; 2) Gallarati Scotti „Miraluna", powieść Milano, Treves; 3) Sibilla Aleramo „Amo dunque sons", powieść Milano, Mondadori.

W Rzymie powstała nowa spółka wydawnicza „Doxa", która zaczyna swą poważną działalność wydawaniem serji dzieł z zakresu historji, religji i filozofji.

Z francuskiej beletrystyki: 1) Jacques Tracy „Julien parmi les femmes", powieść wyd. Albin Michel; 2) Marie Jade: Mon amour, ou est tu? wyd. Stock.

Japonka pisząca po francusku. Kikon Yamato wydała zbiór szkiców o Japonji p. t. „Le Choji (Intimités et profils japonais) wyd. Stock.

Oryginalny drzeworyt, zdobiący tytułową kartę „GAZETY LITERACKIEJ" wykonał znany malarz **Zdzisław Gedliczka.**

Ekshumacja literacka

Ze starego rękopisu, znajdującego się w Bibljotece Teatrów Miejskich w Warszawie, profesor Uniwersytetu Józef Ujejski wydobył i wydał tragedję w 5-ciu aktach Tekli z Łubieńskich „Wanda", która ukazała się staraniem Polskiego Instytutu Teatrologicznego istniejącego przy Związku Artystów Scen Polskich. (Warszawa 1927 str. 137). Jest to wydobycie na jaw utworu martwego, w stylu pseudoklasycznym, wystawionego przed laty 120 na scenie Teatru Narodowego w Warszawie na Krasińskim Placu. Prof. Ujejski napisał do tej tragedji przedmowę, stanowiącą główną wartość wydawnictwa, jako cenny przyczynek do „Dziejów nowożytnej tragedji polskiej „typu pseudoklasycznego", monografji opracowanej gruntownie przez prof. Marjana Szyjkowskiego, wydanej w Krakowie 1920 r. nakładem Akademji Umiejętności.

Dowiadujemy się z przedmowy, że grana dnia 17 kwietnia 1807 r. „Wanda" odniosła pełny sukces i była powtarzaną w dn. 19 i 26 tegoż miesiąca i roku, co jak na tragedję klasyczną, było wtedy wybitnem powodzeniem, gdyż tylko opery, albo popularne „dramy" Kotzebu'ego ściągały liczniejszą publiczność.

Prof. Ujejski na tle ówczesnego literackiego i teatralnego ruchu osnuwa walory „Wandy" poczętej i wykonanej w duchu panującej wtedy francuskiej kultury, która narzucała dramatowi akademickie, ciasne formuły.

Ówczesne powodzenie „Wandy", autor przedmowy przypisuje nietylko jej walorom literacko teatralnym, ale także patrjotycznym zaletom tragedji, której „rodowitość, uczucia szlachetne i obywatelskie dobrze wydane uczyniły godną wystawienia" wedle słów ówczesnego cenzora Józefa Lipińskiego. Autorka, jak twierdzi prof. Ujejski, „weszła na tor unarodowienia tragedji" nietylko przez samą treść — z mitycznych dziejów Polski zaczerpniętą — ale także przez tendencję podniesienia godności narodu „zgodnie z potrzebą tego czasu i pokolenia".

Właściwie mówiąc, dzieło unarodowienia sceny polskiej podjął w bardziej swojski sposób na schyłku XVIII w. Franciszek Zabłocki w komedji „Sarmatyzm" malującej obyczaje i przesądy szlachty współczesnej, a zwłaszcza Wojciech Bogusławski w swej komedji-operze „Krakowiacy i górale", w której na scenie wystąpił po raz pierwszy lud wiejski, przedstawiony żywo i naturalnie, z poczuciem realnej prawdy.

Jak słusznie twierdzi prof. Ujejski tragedja polska pseudoklasyczna z początków XIX w., chociaż wzorowana na modłę francuską, wprowadzała na scenę tematy rodzime w duchu obudzonego po upadku niepodległości umiłowania wielkiej tradycji dziejowej oraz żądzy wskrzeszenia ojczyzny. W swej „Wandzie" Tekla Łubieńska uderzała mocno dekłamacyjnie w ton patrjotyczny, robiąc aluzje do współczesnych wypadków i politycznych aspiracyj polskich. Troskliwie to wykazuje prof. Ujejski z wielką erudycją i znajomością epoki, określając znaczenie tragedji w stosunku do innych płodów tego kierunku, oraz paru tragedyj opartych na legendzie o królowej polskiej, „co nie chciała Niemca".

Łubieńska odstąpiła nieco od prawideł klasycznych, nie zachowując jedności miejsca — jednakże ułożyła całość według wzorów Corneille'a i Racine'a, kazała prastarym Lechitom przemawiać w gładko struganych aleksandrynach, zakończonych przeważnie bardzo łatwymi rymami. Wanda, królowa walcząca z miłością dla Rytygiera i poświęcająca swe życie dla dobra ojczyzny, deklamuje patetycznie, jak Roksana lub Hermiona, podobnie, jak bohaterki klasyczne, ma swoją „powiernicę", wszyscy zaś mężczyźni mówią tu z ogłady i pozują szlachetnie lub tragicznie, na wzór francuskich dworaków z XVII w. Jednem słowem dzisiaj ta „Wanda", której zalety pomysłu i budowy ze stanowiska dawniej panującego smaku wykazuje prof. Ujejski, pod względem literackim jest dziełem spłowiałem. Jej ton narodowy blednie wobec potężnych manifestacji i wybuchów prawdziwie polskiego ducha w poezji wielkich wieszczów naszych, ochrzczonej przy narodzinach mianem romantyzmu. „Wanda" ma dziś znaczenie głównie dla historyków literatury, odgrzebujących przeżyte kształty z rumowiska dziejowego. Wobec arcydzieł szczerze narodowych niema także tragedja wartości dla młodzieży, tak samo, jak np. nie posiadają dziś pedagogicznego znaczenia głośne ongi w latach 1818—1830 wykłady na uniwersytecie warszawskim Ludwika Osińskiego, które ukazały się w r. 1861 w zbiorowem wydaniu dzieł tego zasłużonego dyrektora teatru i prawowiernego klasyka.

Nasuwa się teraz porównanie „Wandy" z „Legendą" Wyspiańskiego, który intuicyjnie zbliżył się w opanowaniu tego tematu do prastarego lechickiego tonu, ale nie nadał bohaterce dramatu dramatycznej plastyki, ulegając w zewnętrznem ujęciu treści wpływom Ryszarda Wagnera, zwłaszcza jego „Złota Renu". Ani uroczysty rytm pseudo-klasyczny dawnej tragedji, ani dekoracyjność i tłum widziadeł wodnych w dziele znakomitego romantyka nie mogą dzisiaj nadać tragicznym losom córy Krakusa poetycznej mocy i trwałości, któraby zapewniła jej żywot w świecie scenicznej ułudy. Zasługuje tylko na uznanie trud profesora-wydawcy oraz jego metodyczna praca w literackiem wykopalisku.

Józef Kotarbiński.

Wieczory recytacyjne J. Ronarda Bujańskiego.

Dwoma wieczorami, urządzonemi staraniem Koła Art. Lit. „Likart" w salach Uniwersytetu Jagiellońskiego (18 i 21 bm.) przypomniał się Jerzy Ronard Bujański Krakowowi i przekonał go niemi, iż obawy, jakie żywiono, że zmanieruje się w wileńskiej „Reducie" są — na szczęście — niesłuszne.

Nieskazitelna dykcja, głos przechodzący z największą łatwością od najsubtelniejszych tonów do surowego spiżowego brzmienia, inteligentne wczucie się w recytowany utwór, wydobycie zeń wszystkich, możliwych do wydobycia efektów dźwiękowych — te kardynalne warunki dobrego recytatora, które Ronard w tak wysokim stopniu posiada — tłumaczą jasno, gorące oklaski, jakiemi go darzono.

M. S.

ZARZĄD GŁÓWNY T. S. L.

poleca następujące wydawnictwa własne:

Marja Missonowa: O J. Słowackim w roku sprowadzenia zwłok Poety do Ojczyzny zł. 1.00

H. Przyjemska: Wieczór ku czci Słowackiego „ 0.50

Pamiątka Sprowadzenia Zwłok J. Słowackiego do Krakowa (Album z dziesięcioma ilustr.) „ 1.00

Na Raty!

Pierwszorzędne modele damskie ubiory męskie oraz futra gotowe i na miarę i jak również materjały krajowe i angielskie polecają najtaniej

J. I F. EMMER

Kraków, ul. Florjańska 42. Tel. 4211

Ceny ogłoszeń w niniejszem numerze o 50% droższe.

Zakończenie sprawy: Tow. Sztuk pięknych contra „Niezależni",

Wszyscy pamiętają jeszcze uroczysty eksodus bojkotujących artystów plastyków z Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych, każdy widzi jeszcze białego, smutnego Pegaza opuszczającego niegościnne dla prawdziwych artystów podwoje... Dziś Pegaz wraca tam zwycięzcą!

Oto co nam donoszą:

Na podstawie porozumienia, które w ostatnich dniach nastąpiło między dawną dyrekcją Tow. Sztuk Pięknych, a Komitetem bojkotujących ją artystów, zrezygnowali ze swych stanowisk wszyscy członkowie ostatniej dyrekcji Towarzystwa, poczem dn. 14 bm. na nadzwyczajnem walnem zgromadzeniu wybrano nową dyrekcję, w skład której weszli z ramienia artystów „bojkotujących" pp. E. Barącz, Z. Ehrenpreis, dr. Glatzel, J. Hryńkowski, Wł. Jarocki, L. Lepszy, J. Muczkowski i J. Winiarz, a jako reprezentanci dawnej dyrekcji pp. F. Kopera, A. Kramarzyński, J. Kwiatkowski, L. Lewicki, B. Rozmarynowicz, F. Turek i W. Zarzycki.

Sprawa p. Waśkowskiego, jako płatnego sekretarza Towarzystwa zostanie omówiona na najbliższem posiedzeniu nowowybranej dyrekcji Towarzystwa, które odbędzie się 20 bm. Na tem posiedzeniu dokonany będzie wybór prezesa i wiceprezesa Towarzystwa.

Książki i czasopisma nadesłane.

Wiedza i Życie nr. 6 zawiera art.: Stanisław Noakowski — Sztuka Starochrześcijańska; Antoni B. Dobrowolski — Najpiękniejsze klejnoty natury (kryształki śniegu); Stanisław Małachowski—Łempicki — Związek tajny „Wolnych Polaków"; Helena Schrammówna — O wartości artystycznej samodziałów ludowych na Wileńszczyźnie; W. S. Dembowska — Od czego zależą wygląd i charakter człowieka; adres: Warszawa — Chmielna 33 m. 5.

Bluszcz nr. 24 zawiera art.: Zofja Miszewska — Kobieta a uniwersytet; M. H. Szpyrkówna — Pod znakiem skrzydlatego rumaka; St. Podhorska-Okołów — Konie, jeźdźcy, publiczność na międzynarodowych konkursach hipicznych w Warszawie; Nowoczesna Semiramida; Wiersze F. Kruszewskiej, nowele, kronika i in.

Morze nr. 6 zawiera art.: Postulaty rybactwa polskiego — pr. M. Siedlecki; Rozwój floty handlowej w Polsce; Podział pracy — H. Uziembło; Z dziennika marynarza — T. Stecki; belestrystyka i in.

Pologne Literaire nr. 8 zawiera art.. Notre Sienkiewicz — O. F. de Bataglia; Mes confessions-Boy-Żeleński; La peinture de Jacek Malczewski — T. Szydłowski; i in.

Lwowskie Wiadomości muzyczne i lit. nr. 6 zawierają art.: Wspomnienie o Leszetyckim — Fr. Łukasiewicz; Maska tragiczna — Cz. Jastrzębiec Kozłowski; Festival Beethovenowski we Wiedniu — F. Eyle; prócz tego kronika, ze sceny, recenzje i in.

Celem urządzenia wystawy sztuki węgierskiej, której otwarcie nastąpiło w niedzielę 19 bm., utworzony został z ramienia Komitetu bojkotowego osobny Zarząd składający się z pp. Wł. Jarockiego, St. Popławskiego i J. Rubczaka. Wystawa bieżąca artystów, jako „wystawa niezależnych" trwa dalej w salach Tow. Rolniczego na placu Szczepańskim.

Konstanty Srokowski — Elita bolszewicka (Studjum socjologiczne), Kraków 1927 nakł. Krak. Ski Wyd. str. 121.

Mieczysław Hartleb — Nagrobek Urszulki (Studjum o genezie i budowie trenów Jana Kochanowskiego), Kraków 1927 nakł. Krak. Ski. Wyd. str. 158.

Michał Janik — Juljusz Słowacki (1809—1849 Próba syntezy), Kraków 1927 nakł. Krak. Ski Wyd. str. 111.

Nauka Polska. (Materjały do spisu instytucji i towarzystw naukowych w Polsce) VII rocznik Kasy im. Mianowskiego — Warszawa 1927 — str. 418.

Józef Ujejski — Ostatni Wajdelota — Warszawa 1927 nakł. Sekcji Bibljofilów K. Polonistów S. U. W. str. 23.

Roman Dyboski — William Shakespeare — Kraków 1927 nakł. Krak. Ski Wyd. str. 352.

Irena Kosmowska — Kto jest Juljusz Słowacki nakł. „Naszej księgarni", Warszawa 1927 str. 48.

Helena Mortkowiczówna — Podanie o Wandzie — (dzieje wątku literackiego), Warszawa 1927 skł. gł. Tow. Wyd. J. Mortkowicz; str. 140.

Eustachy Czekalski — Proste drogi (powieść) Warszawa 1927, Gebethner i Wolf — str. 154.

Stefan Napierski — Odjazd (poezje) nakł. F. Hoesicka, Warszawa 1927 — str. 78.

Marja Pawlikowska — Wachlarz — nakł. F. Hoesicka — Warszawa 1927 — str. 104.

Na obczyźnie i u siebie. (Z przeżyć jednej szkoły). Nakł. Koła Opieki Rodzicielskiej przy gimnazjum Kazimierza Kulwiecia — Warszawa 1927 — str. 151.

Odpowiedzi Redakcji.

Autorowi „Ironji Życia". Mimo ciekawych pomysłów, umieścić nie możemy. Forma zbyt chaotyczna, ma mało wyrobienia, nie skrystalizowana. Trzeba jeszcze wiele pracować nad sobą. I nie nałamywać się do żadnych ideologii, których nie czuje się każdem drgnieniem serca, które nie krążą z każdą kroplą krwi.

Promyk Słońca. Owszem, słusznie, że pani ma wątpliwości. Wiersze pani nie mają jeszcze żadnej formy. Rytm kuleje, rymy banalne. Ale pierwsza zwrotka „Z wiosną" ma maleńkie zadatki na przyszłą poezję, zadatki, które każą nam poradzić pani pracę i nie zrażanie się niczem.

S. D. Z wierszy jeszcze nie skorzystamy, choć wiersz p. t. „Życie me" już prawie bez wady. Inne słabe. „Gazeta Literacka" nie ma nic wspólnego z „Litartem". Prezesem „Litartu" jest p. W. Zechenter. Listy adresować na Uniwersytet Jag.

Salon Malarzy Polskich Juljuszowi Słowackiemu.

Nakładem Salonu Malarzy Polskich w Krakowie ukazał się **„Testament mój" Juljusza Słowackiego** w ozdobnem i pięknem wydaniu. Tekst oraz drzeworyty rysował i rytował Stanisław Jakubowski. Najpiękniejsze drzeworyty to tytułowy i na stronie 6-ej. Układ graficzny bardzo staranny.

Czytajcie i rozpowszechniajcie!

Chrzanowski Ign.	W przededniu złożenia prochów Słowackiego na Wawelu	zł 1.00
„ „	Juljusza Słowackiego „Grób Agamemnona" i „Testament mój" . .	„ 0.75
Kallenbach J.	Genjuszowi Poezji w hołdzie Wawelskim 27—28 czerwca 1927 roku	„ 0.90
Rogosz-Walewska J.	Prochom Juljusza Słowackiego .	„ 0.85

Żądajcie we wszystkich Księgarniach!!!

Skład główny:

Gebethner i Wolff, Rynek gł. 23.

Wysyła odwrotnie za zaliczką. Wysyła odwrotnie za zaliczką.

PAMIĘTAJ!

Najtaniej
Najmodniej
ubierzesz się
i kupisz towary
odzieżowe w

APROWIZACJI

MIAST
w Krakowie
Rynek Gł. 34
(nad Hawełką)

DOGODNY KREDYT!

Doborowe instrumenty od najtańszych do luksusowych.

ORYGINALNY STEINWAY

STEINWAY & SONS
NEW YORK
LONDYN · HAMBURG
ZASTĘPCA:
ZYGMUNT RABA NAST
WŁ. BOLONSKI

FORTEPIANY · PIANINA

Ceny umiarkowane.
Dogodne raty

Fortepiany
Pianina
Petroff'y
Steinwey'e
Pleyel'e

Fachowe informacje.
Zamiana starych instrumentów z dopłatą na nowe

ŻĄDAJCIE WSZĘDZIE!

OBUWIE MĘSKIE
Marko
GOODYEAR WELT

ŻĄDAJCIE WSZĘDZIE!

Pierwszej jakości
cukry,
czekoladki,
herbatniki

„Kryształ"

zakupić można
w składzie fabrycznym
Kraków, Rynek główny 7.

Juljusz SŁOWACKI

Próba syntezy.
Napisał dr. Michał JANIK
(z 2 ilustracjami).

Zwięzła a pełna charakterystyka, którą prof. Ign. Chrzanowski określa jako „pierwszą i jak dotychczas, **jedyną wybitniejszą próbę syntezy twórczości Słowackiego".** Niezbędna pomoc dla urządzających odczyty i wykłady.
Cena zł 3.20. Z przesyłką pocztową zł 3.70.

„Siła fatalna" poezji J. Słowackiego

Napisał F. HOESICK.
Cena zł 5.—. Z przesyłką pocztową zł 5.50. — (Za zaliczką **nie** ekspedjuje się)
Wysyła: **Krakowska Spółka Wydawnicza, Kraków**, ul. św. Filipa 25 oraz **Księgarnia Jagiellońska, Kraków**, ul. Wiślna l. 3.

Gilzy pełnowatki
Bibułki do papierosów „Altesse" i „Mokka" są najlepsze.

Instytut naukowy
„MATURA"

Główne Biuro: *Kraków, Karmelicka 35*, parter. — Kierownik pedagogiczny: *Profesor Dr. Bronisław Świba*

Zapisy na nowy rok szkolny!

1. **Kurs klasy 4, 6, 8 gimnazjalnej dla dorosłych** (typ humanist.)
2. **Kurs przygotowawczy do matury gimn. i sem. naucz.**

Nauka ustna zbiorowa we własnym lokalu przy udziale PP. Profesorów szkół średnich i Docentów Uniwersytetu popołudniu i wieczór, codziennie 5—6 godzin.

Oddział korespondencyjny: Dla zamiejscowych, względnie którzy nie mieli możności ukończyć szkoły (stosunki, wiek) prowadzimy kursa zapomocą metody korespondencyjnej (listownej) polegającej na przesyłce wzorowo opracowanych wykładów drukowanych litografowanych) przez PP. Inspektorów, Dyrektorów, Profesorów szk. śr. i PP. Docentów Uniwersytetu na zasadzie najnowszych programów Ministerstwa. W. R. i O. P.

Każdy może się uczyć w domu bez przerwy zajęć. Metoda powyższa ułatwia naukę bez osobnego nauczyciela lub kupowania drogich podręczników szkolnych: Poprawa zadań, stały nadzór nad uczniem. Próbne wykłady na 8 dni po nadesłaniu zł. 3.50 (podać klasę wzgl. język obcy) Prospekty bezpłatnie.

Uwaga! **Uczcie się języków obcych, angielskiego, niemieckiego francuskiego,** każdy w 32 lekcjach pod kier. sił zagranicznych.

Rodakom pozakrajowym, przybywającym na pogrzeb J. Słowackiego dajemy przy zapisach na kursa korespondencyjne wyjątkowe ulgi.

Po zniżonych cenach do nabycia w Redakcji
„Gazety Literackiej"

Jerzy Braun
Najazd Centaurów, Kraków 1926 — 1 zł —
Oceanjada, Kraków — 1 „ —
Dywan rozkwitający Warszawa — 1 „ 50

Józef Aleksander Gałuszka
Uśmiechy Boga Kraków 1922 — 2 „ —
Dusza miasta, Kraków 1922 — 2 „ —
Gwiazda Komandorji Kraków 1925 — 2 „ —

Juljusz Feldhorn
Domy, Kraków 1925 — — 80
Zwycięstwo Ahaswera Kraków 1926 — 3 „ —

Pieniądze za żądane książki należy wpłacać na konto „Gazety Literackiej" — **Kraków 406000** lub **Warszawa 153.210** z wyszczególnieniem na marginesie blankietu nadawczego nazwiska autora i tytułu książek. Po otrzymaniu wpłaty wysyłkę uskuteczniamy natychmiast.

Redaktor odpowiedzialny: ADAM POLEWKA.
Redaktor naczelny i wydawca: JERZY BRAUN. —
Ogłoszenia: za wiersz 1 mm szerokości 1 szpalty na ostatniej stronie 25 groszy, na innych 50% drożej.
„Polonia" Sp. Wyd. z o. o. Katowice.